9758

XIV

1. Rodzina Kietlińskich

2. Podróż do Banatu - Część I-sza

zeszyt ze spisem w teczce

E. Czapliński, Kraków, Szewska 2.

Podróż do Banatu- Część 1-sza.

Podczas urzędowych objazdów mego męża po gubernii, corocznie lato spędzałam u kochanego Ojca mojego w Krakowie, lub u wód jakich.- W r, 1877. pobyt mój w domu Ojca znacznie się przeciągnął z powodu niedomagań, którym coraz częściej Ojciec podlegał, więc dopiero pod koniec października poczęłam pakować manatki do wyjazdu do Radomia. Tym razem czyniłam to ze ściśniętem sercem, gdyż przykro było mi zostawiać ukochanego Ojca słabym, bez mojej opieki,lecz mąż naglił mię do powrotu, obawiając się dla mnie fatalnej drogi kuryerka z Warszawy do Radomia, trwającej nieraz 16. godzin, a tak męczącej i niewygodnej, że tylko z dantejskiem piekłem porównaćby ją można.- Wprzededniu wyjazdu mojego odebraliśmy od brata mojego Michała, lekarza pułkowego, garnizonującego od lat 8-u w Banacielist, zdradzający wielkie rodrażnienie nerwowe i goracą prośbę o przyjazd Ojca lub siostry. Ponieważ wiekowemu i słabemu Ojcu niepodobna było puszczać się w dwódniową podróż, decyzya trwała krótko i nazajutrz z rana wyjechałam w towarzystwie przyjaciołki mojej, p. Honoraty SIEDleckiej, na Węgry.

Podróż ta żadnej nie mogła mi sprawiać przyjemności: przejęta niepokojem o zdrowie ukochanego brata, niwidzianego od lat 8-u,zasunęłam się w głąb wagonu, obojętna na wszystko, co mnie otaczało.- Wtenczas droga żelazna na Węgry wiodła tylko pod sam niemal Wiedeń, do st. Gänserndorf, a więc przez Morawy. Przebywając tę drogę kilka razy,Podziwiałam zawsze ten kraj żyzny,pięknie i schludnie zabudowane wsie, gospodarstwa kwitnące, wspaniałe sady, drogi wysadzane drzewami owocowemi, wspaniałe łany pszenicy i buraków, uprawione znakomicie, lud piękny i wesoły. Jednak do moich dodatnich spostrzeżeń mieszała się zawsze kropla goryczy: "Kiedy u nas tak będzie- zwłaszcza pod względem

kultury ludu?"...

W drugim dniu naszej podróży- już za Budapesztem-przebywałyśmy kraj płaski,bardzo urodzajny,wsie wielkie, liczące -tak jak n. p. Pancsowa- do 3o.ooo. mieszkańców. Na wszystkich większych stacyach przygrywała cygańska muzyka, pasażerowie rzucali się z apetytem na wyborny "guliasz" i wspaniałe ryby, popijając cienkie, ale czyste i bardzo smaczne wino; zwłaszcza cudzoziemcy czynili honor wszystkim przysmakom krajowym.- Lud tam piękny, malowniczo odziany, dziarski i wesoły.- Przebywaliśmy różne miasta, których nazw już zapomniałam, wszystkie schludne i dobrze zabudowane. Naraz w oddali ukazała nam się na ogromnej równinie czerwień jakby pożaru; podróżni rzucili się do okien, aby zbadać zjawisko, dziwniejsze jeszcze przy przepysznem słońcu jesiennem, zachwycające ognistą barwą. Był to Segedyn, nad najrybniejszą rzeką Węgier, Cisą. Dobroczynna przyroda, dając miastu temu wspaniale zarybioną rzekę, dała odrazu i przyprawę do ryb, paprykę, w którą okolica obfituje i zasila tym ulubionym przysmakiem narodowym całe Węgry. Nanizane na sznury strąki tej rośliny, zwisające dla wyschnięcia ze wszystkich domów dużego miasta, wywoływały to niebywałe zjawisko ogniste. - W lat kilka po naszym przejeździe nawiedziła miasto okropna katasrofa:przerwanie tamy na Cisie- która zalała całe miasto, niszcząc pola na ogromnej przestrzeni i gubiąc bardzo wiele ludzi

Dalej zatrzymał się pociąg w Temeswarze, twierdzy, lecz tylko z dala mogłyśmy podziwiać to piękne, bogate we wspaniałą, starą rachitekturę miasto; czas i niepokój gnał nas nieprzeparcie do celu naszej podróży, miasteczka BIAŁOKOŚCIOŁYę/Feher Templon- Weisskirchen/.- Towarzyszka moja dla dodania mi odwagi w mojem smutnem usposobieniu; choć w gruncie swej szlachetnej duszy współczuła serdecznie ze mną, nie mogąc słowa wydobyć ze mnie, starała się rozprószyć moje smutne myśli dyskursem z towarzyszami podróży, a że bardzo słabo po niemiecku mówiła,

rozmowy przybierały nieraz bardzo humorystyczne zwroty. N. p. gdy przebywaliśmy okiem nieprzejrzane pola kukurudzy, zgadało się o tem, że u nas w Polsce uprawia się tę pożyteczną roślinę tylko czasem w ogrodach. Jedna z pasażerek zapytała: "Czemże u was w takim razie karmią gęsi?"-"Mit Wanzen"- odrzekła bez namysłu p. Siedlecka... Widząc łatwozrozumiałą konsternację towarzyszy podróży i nie chcąc do reszty pogarszać już i tak nieszczególnej opinii o czystości w Polsce... musiałam przerwać moje "silentium" i objaśnić, że to miało być "mit Weizen"- pszenica...

Część 2-ga- pobyt w Białokościele.

W papierach ś. p. Matki mej nie znalazłam opisu samego pobytu w domu brata, choć znajduje się tam nagłówek powyższy i choć Matka wspominała zawsze mile różne humorystyczne szczegóły z kawalerskiej gospodarki brata w ładnem, lecz prawie zupełnie pustem mieszkaniu, obsługiwanem przez poczciwego "putzera" Madiara, nierozumiejącego ani sylaby z żadnego aryjskiego języka; stąd mam jeszcze notatnik Matki z różnemi węgierskiemi słowami, niezbędnemi w codziennem obejściu, podyktowanemi Jej wówczas przez wuja.- Opowiadała o dziwnych strojach i obyczajach mieszanej, a przeważnie dorodnej i malowniczej ludności, zamieszkującej to pogranicze Bałkanu /n.p. osiadłych Cyganach, całych w bieli/-o Serbkach nawet z ludu, malowanych na sposób kobiet mahometańskich jak "pobielane groby"- o dziwnym zwyczaju obwijania p. młodej serbskiej sztukami materyi -darami ślubnymi- przed ołtarzem w czasie niekończącej się ceremonii prawosławnego ślubu... A także o bardzo luźnych obyczajach dam o krwie gorącej, a próżniaczych i przeważnie mało inteligentnych, których jedynym żerem w nudach "małego garnizonu" byli oficerowie tej zagubionej na krańcach monarchii stanicy wojskowej.

Część 3-cia- wycieczki.

Brat mój Michał, uzyskawszy tygodniowy urlop, powziął szczęśliwą myśl wycieczki Dunajem do Wrót Żelaznych. Zamiar powzięty przy obiedzie, wszedł w wykonanie w dwie godziny - i oto z wielką radością o 3-ciej popołudniu udaliśmy się do Bazyasz, końcowej stacyi kolei węgierskiej, a zarazem portu dla bardzo ożywionegoruchu handlowego na Dunaju pomiędzy Węgrami, a Belgradem i Rumunią. Stacya Bazyasz -istne gniazdo jaskółcze, uczepione długim, a wązkim pasem na lewym brzegu Dunaju-posiadała niewielki dworzec z restauracyą dla pasażerów żeglugi i kolei; natomiast składy portowe i stacya dla bydła i trzody zajmowały kilometr wybrzeża.- Po odprawieniu powozu dowiedzieliśmy się, że statek,mający nas zabrać w dalszą,drogę przybędzie dopiero późnym wieczorem.,Przechadzając się po bulwarze, spotkaliśmy wojskowego, który tak jak my czekał na pustej prawie stacyi i rad był zapewne, że nudy podzieli z nami. Był to kapitan Honwedów Görits,powracający z Budapesztu do Orsowy.Człowiek ten, zajmujący powierzchownością i obejściem, liczący lat 3o-kilka, spadł nam jak z nieba. Mieszkając od lat 8-U w Orsowy,znał wybornie drogę, którą przebyć mieliśmy razem i stał się wymarzonym przewodnikiem w całej naszej podróży.- Gdy zmrok zapadł, chłód i głód zapędził nas do restau racyi, gdzie zajęliśmy miejsce w kącie sali, w pobliżu ciepłego pieca. Bardzo smaczne i ładnie podane potrawy pogodziły nas z losem. Nagle hucznie i buńczucznie weszło na salę czterech ludzi, których olbrzymi wzrost i niezwykła powierzchowność zainteresowały nas wielce. Byli już starsi i dobrej tuszy, ubiór ich malowniczy składał się z ciżem z brązowej skóry, sięgających do kolan kamaszy z jasnego sukna, spodni ciemnych, bufiastych jak spodniczki i kurtki krótkiej, bogato haftowanej jedwabiem i złotem,podbitej białym, baranim korzuchem- wreszcie z ogromnego,skórzanego pasa czyli trzosa, opasującego kolosalne ich brzuchy.Na głowie fez czerwony.

Wesołość i zadowolenie jaśniały z ich ogorzałych twarzy, ozdobionych pokrętnym, wspaniałym wąsem.- Jak nas objaśnił kap. Görits, byli to Serbowie, handlarze trzody, którzy ogromne stada wysyłali statkami i koleją do Austryi i dalej.Panowie to byli milionowi, czego naocznie dowodziły ich trzosy...My wszyscy czworo, choć dobrego wzrostu, wydawaliśmy się sobie karłami wobec tych olbrzymów, a wobec ich trzosow nabitych złotem - chudopachołkami... Pozdrowiwszy nas grzecznie,zasiedli Serbowie w pobliżu bufetu i zamówili sobie wieczerzę. Na początek przyniesiono cztery miski porcelanowe krajowego kawioru i jednę olbrzymią salaterę czegoś białego, czem suto posypawszy kawior, zajadali z wielkim apetytem. Sądziłyśmy, że ta przyprawa jest cukrem miałkim i zdziwiła nas ta kombinacya- wkrótce jednak uderzyła nas woń drobno posiekanej cebuli. Postanowiłyśmy zaraz s probować tej przyprawy i mogę powiedzieć, że jest niezła, lecz tylko w bardzo małej ilości i do bardzo łagodnego smaku dunajowego kawioru. Jednak jako amatorka kawioru nigdy już tego eksperymentu nie powtórzyłam.- Serbowie pochłonęli wielkie ilości gulaszu, szaszłyku baraniego i ryb, popijając winem, które w butlach, oplecionych słomą, ze sobą przywieźli. Po tak obfitej kolacyi powolnili nieco pasów na imponujących brzuchach i poczęli grać w kości, to śmiejąc się do rozpuku, to znów kłócąc się zajadle, co nas poczęło nużyć.- Wybiła północ, kiedy nadeszła wiadomość, że oczekiwany statek dopiero rano nadejdzie. Otwarto nam więc przyległy salonik 1-ej kl., gdzieśmy obie zamierzały przespać się na wązkich ławeczkach, kiedy wniesiono do salonu dwa eleganckie łóżka z wygodną i śnieżnej białości pościelą,poczem gościnna restauratorka, życząc nam dobrej nocy, oddaliłasię. P. Siedlecka natychmiast utonąwszy w pościeli chrapnęła, ale ja w sąsiedztwie gadatliwych świniarzy oka nie zmrużyłam. O świcie zaś poczęły dochodzić z kuchni restauracyjnej tajemnicze szmery, połączone- jak się później dowiedziałam- z obrządkiem przyrządzania "guliaszu", zupełnie innego, niż u nas. Bierze się mianowicie tłustą karkowinę z opasowych wołów węgierskich, po-

krajaną w kostkę i wkłada do garnka z włoszczyzną, niesłychaną ilością papryki, zalanego po brzegi wodą, poczem naczynie zalepia się ciastem- jak u nas pieczoną szynkę na Wielkanoc- i wstawia do pieca piekarskiego, gdzie powoli dusi się aż do południa, co nadaje gulaszowi niespotykaną gdzieindziej soczystość.

Nazajutrz rano, pokrzepieni doskonałą kawą, wyszliśmy na bulwar, wyglądając, czy oczekiwany statek nie nadchodzi? Dzień zapowiadał się piękny, choć nieco wietrzny. Na stacyi panowała cisza. Serbowie o świcie załadowawszy kilkadziesiąt wagonów swym cennym towarem, wyruszyli w stronę Budapesztu i Wiednia, pozostawiając za sobą smugę wielce niemiłego odoru... Poczciwy kap. Göritz, chcąc nam skrócić nudę oczekiwania, zaproponował spacer na najwyższy szczyt góry nad Baziasz, do groty, z której przedstawiał się nadzwyczaj malowniczy widok na serbską stronę, po prawej stronie Dunaju. Od rzeki wiał tak silny wiatr, że tylko z trudem drapaliśmy się na stromą górę. W połowie drogi p. Görits wyprzedził nas, chcac zbadać, czy wogóle na szczycie będzie możliwem się utrzymać? Nagle począł rękami dawać nam znaki do odwrotu i mocno zażenowany i zaperzony, począł w języku węgierskim objaśniać bratu mojemu, że pasterze, pasący tu owce, uniemożliwili śladami swego pobytu dostęp do groty...- Po tym chybionym, a męczacym spacerze, zasiedliśmy w restauracyi, uzbroiwszy się w cierpliwość. Przy gawędzie i różnych węgierskich przysmakach zeszły nam dwie godziny, kiedy dał się słyszeć przeciągły świst statku, zarzucającego kotwicę. Nasi panowie wybiegli, a my poczęłyśmy zbierać nasze nieliczne manatki do dalszej podróży. Niebawem brat mój powrócił z wiadomością, że statek przybyły nie jest tym, na który czekamy...Nie pozostawało nam, jak czekać nadal na stacyjce, gdyż wicher szalony uniemożliwiał wszelką przechadzkę. Ale nasz nieoceniony towarzysz podróży pojawił się z wiadomością, że kapitanem na przybyłym statku jest jego dobry znajomy, który dowiedziawszy się o naszej niedoli, polecił mu zaprosić nas na swój parowiec na obiad i czas oczekiwania na dalszą podróż. Z chęcią udaliśmy się na elegancki yacht, gdzie kapitan i dwóch oficerów marynarki przyjmowali nas- zapewne

z nudów- z wielką uprzejmością i iście pańską gościnnością. Panowie ci światowi nietylko starali się zabawić nas rozmową, ale i nakarmić. Żadnych pasażerów na statku nie było, więc do bardzo wykwintnego obiadu zasiadło nas osób siedm. Na eleganckie tak w smaku, jak podaniu "menu" złożyły się ryby, drób i rozmaite przystawki, oraz deserze wspaniałych owoców, a na podniesienie humorów, nadwerężonych niepowodzeniami podróży, wpływało jeszcze wspaniałe wino węgierskie i wołoskie. Wiadomo zaś, że w czasie żeglugi morskiej czy rzecznej apetyt doskonale dopisuje.- Wśród ożywionej rozmowy czas upływał nam szybko i przyjemnie. Wichura nieco nacichła, więc wyszliśmy na pokład. Wkrótce na drobno-falujacej rzece bystrowzroczni marynarze dostrzegli czarny punkcik, który okazał się oczekiwanym od 24.g. statkiem "Austrya". Zszedłszy z pokładu, zastaliśmy znowu stół zastawiony wyborną kawą, lodami i ciastem. Popodwieczorku opuściliśmy gościnny statek, na którym w miłej atmosferze zeszło nam godzin kilka.

Parowiec "Austrya" wydał mi się olbrzymem w porównaniu z tymi, jakie na Wiśle, Wełtawie, a dotąd i na Dunaju widziałam. Podróżnych 1-ej kl. było niewielu, przeważnie kobiety różnej narodowości, lecz niezachęcające do znajomości i widocznie jak i my niewyspane, gdyż zaraz po kolacyi znikały w kajutach, lecz wkrótce powróciły do salonu, utrzymując, że tam jest zbyt duszno. Wzięłyśmy się więc wszystkie do posłania sobie na wygodnych sofkach, okalających obszerny salon, obiecując sobie mimo szalejacej wichury dobry spoczynek, kedy pojawiła się strojna imość w średnim wieku z licznymi, bardzo eleganckimi pudłami, które z wielką ostrożnością poustawiała dokoła siebie. Pani ta niezmiernie gadatliwa, Francuzka, przedstawiła się współpasażerkom jako najpierwsza modniarka z Bukaresztu, powracająca z Paryża. Pamiętając nawet na statku o swoim interesie, poczęła wydobywać z pudeł rozliczne fioki, przedmioty wielkiego zbytku; zaraz też kobiety, które już do snu się zabierały, wytrzeźwiały, podziwiając ostatnie mody paryskie. Sprytna Francuzka zmiarkowała, że my jedne nie okazujemy żadnego zachwytu, więc wyjęła z wielką ostrożnością kapotkę, którą prawie pod nos nam podtykała, z wykrzyknikami: "Un vrai bi-

jou. Un poème." Akiedyśmy i na to nie reagowały, dodała z dumą: "C est la capote de madame Hurko" Poczem zawiodła istny hymn chwały na cześć Hurkowej, żony głównodowodzącego rosyjskiego w ówczesnej wojnie rosyjsko- tureckiej, chełpiąc się klientelą Moskiewki, bawiącej w Bukareszcie, która w pobliżu pola walki wystawnem życiem i zbytkiem w strojach prześcigała najbogatsze bojarki.-Tu nadmienić muszę, że obojętni nam wówczas Hurkowie po latach dali się we znaki Polakom jako wielkorządcy Warszawy uciskiem i zdzierstwem, w którem zwłaszcza osławiona "Marya Andrejewna" celowała...

Ale wróćmy na statek "Austrya". Swada Francuzki na nic się nie przydała; znudzone nią pasażerki nietylko, że nic nie nabyły, ale nawet posnęły wkrótce przy jej gadaniu, a wreszcie i ona sama chrapnęła głośno na wygodnej kanapie. Ja tylko jedna oka zmrużyć nie mogłam. Nad ranem temperatura w obszernej stosunkowo sali jęła przybierać stopień tropikalny, puszczono bowiem parę do rur pod kanapkami. Wtedy pojęłam męki św. Wawrzyńca, pieczonego na ruszcie. Zerwawszy się, otworzyłam okienko nad mojem miejscem, a wyjrzawszy zauważyłam, że wpłynęliśmy pomiędzy skały znacznej wysokości. Wichura przeganiała po niebie małe chmurki, przesłaniające jasny księżyc, srebrzący przelotnie fale Dunaju. Zachwycona cudnym widokiem i orzeźwiona chłodem, zapomniałam o chrapiących towarzyszkach, które zbudzone znaczną zmianą temperatury, poczęły się ruszać; zwłaszcza Francuzka jęczała na przeciąg. Powzięłam zamiar wyjścia na pokład, kiedy statek stanął i oznajmiono nam, że czekać musimy brzasku dnia, aby wyminąć łatwiej podwodne rafy. Noc była zimna i burzliwa, więc powróciłam na moje leże i w gorączkowym półśnie przemęczyłam się do świtu. - Po wybornej kawie wyszliśmy na pokład, gdzie czekał nas zawód niemały: spadła tak gęsta mgła, że na kilka kroków nic widać nie było. Kap. Görits pocieszał nas, że to nie potrwa długo, ale niektórzy pasażerowie utrzymywali, że już trafiało im się czekać w tem miejscu całą dobę. A więc i nam nie pozostało, jak czekać cierpliwie usunięcia się przesz-

kody nowej z szeregu piętrzących się na naszej drodze. Zasiedliśmy z rezygnacyą w sali jadalnej, przeplatając gawędę różnymi smakołykami. Po dwóch godzinach poczęło się rozjaśniać na świecie, i okrzyki: "Land. Landa" dały się słyszeć z pokładu. Pewnie Kolumb, odkrywając Amerykę, nie więcej cieszył się na widok jej brzegów...-

Natychmiast zaroiło się na pokładzie, ruch i ożywienie zapanowały niezwykłe, wiedziwli bowiem prawie wszyscy pasażerowie, że zaczyna się najpiękniejsza część drogi, że mamy przed sobą jeden z najciekawszych w dziejach szlaków, szlak rzymskich legionów, dążących na północny- wschód, drogę Trajana, czepiającą się stromych brzegów Dunaju, jak u nas dróżka w Pieninach; resztki roboty rzymskich inżynierów sterczą jeszcze tu i ówdzie jako skamieniała, czarna dębina. Później zbudowali tam Węgrzy doskonałą szosę, zwaną "drogą Széceniego", a do dziś już i droga żelazna wije się nad rzeką.-Jest to dalej szlak odwiecznych walk z Turkami, niezrażonymi przeszkodami, jakie stawiała sama przyroda, jeżąc dno Dunaju niebezpiecznemi rafami i wtłaczając olbrzymią rzekę jak nasz Dunajec w Pieninach- tylko rozmiarami raczej do którejś z olbrzymich chińskich rzek podobną-pomiędzy prostopadłe skały, na których znać jeszcze uwarstwienie różnokolorowych pokładów geologicznych, przed prawiekiem siłą wody rozdartych, a grających dziś cudnie barwami w jesiennem słońcu. Zbliżaliśmy się do wąwozu Greben, a jakby sygnał przed niebezpieczeństwem, grożącem od gwałtownego biegu masy stłoczonych wód, postawiła tu sama natura olbrzymią skałę stożkowatego kształtu, istną maczugę Herkulesa. To dziwo natury zowią "Babakaj". /"Baba" po turecku ojciec/. Pojawienie się statku wypłoszyło dwa orły ze skalnego gniazda. Poczęły wspaniale krążyć dokoła skały, jakby chciały bronić swej dziedziny; ale nie było jeszcze wówczas samolotów ani tak dalekonośnych pocisków, żeby mogły zagrażać tej cudownej warowni króla ptaków.

Przed zapadnięciem zmroku wylądowaliśmy w pogranicznem miasteczku Orsowa /Rszowa serbska; przyczepka "or" oznacza w języku węgierskim "sta-

szkał w Orsowy od lat wielu i obznajmiony z okulicą , ofiarował się służyć nam nadal za przewodnika. Tymczasem wskazał nam hotelik br. skromnie umeblowany, ale czysty, gdzieśmy się rozgościli.- W miejscu wylądowania statku zauważyliśmy kramy ze świeżo wyłowionemi rybami, do kupna których w każdej żądanej iłości rzucili się podróżni, aby je w restauracyi kazać sobie przyrządzić. Sądząc to przyjętym zwyczajem i my wybraliśmy sobie kawał ślicznej, wielkiej ryby, którą spożyliśmy ze smakiem na kolacyę. Nazajutrz wcześnie zjawił się nasz cicerone i wyruszyliśmy nieco mglistym rankiem w wędrówkę. Orsowa - choć ładnie położona nad Dunajem i otoczona znacznej wysokości, zielonemi górami- jest miastem licho zabudowanem i nic godnego widzenia nie przedstawią, więc ruszyliśmy żwawo w dalsze strony, w rzeźwem, chłodnem popowietrzu jesiennego poranka.- O kilometr od miasta wznosi się dość wysoka, zalesiona przeważnie liściastemi drzewami- mianowicie brzozami- piękna góra Alion, jaśniejąca jesiennem złotem. U stóp tej góry węgierscy ptryoci wraz z polskim gen. Bemem, ukryli w r. 1849. w ziemi węgierskie insygnia koronne przed Austryakami.Insygnia składały się z żelaznej korony św. Stefana,berłą, jabłka i płaszcza.Przeleżawszy pod górą Alion lat kilkanaście,po nastaniu w kraju stanu normalnego zostały ze czcią przewiezione do Budzina i złożone tam w skarbcu koronnym.- Na pamiątkę odnalezienia cennych relikwii narodowych wybudowano na górze w Orsowy kaplicę z otworem pośrodku, otoczonym balustradą i w nim umieszczono podobiznę insygniów, wykutą w marmurze.

Tegoż dnia po obiadowem śniadaniu wyruszyliśmy wygodnym powozem, drogą wiodącą po lewym brzegu Dunaju, do Ada-Kaleh, wyspy, na której znajduje się turecka forteczka, od czasów Maryi Teresy nie tknięta, Ciekawy to zabytek: Najeżona armatami na grubych murach, liczyła wówczas ludności mahometańskiej 2.000. dusz.Ledwieśmy zoczyli wyspę, już dwóch malców, tylko w najkonieczniejszą odzianych garderobę,puściło się łódką ku brzegowi.Byli to czyhający na rzadkich przyjezdnych przewoźnicy. Mnie trochę zbierał strach,puszczać się na fale szerokiej rzeki w wątłej łódce, z tak małymi gondo-

lierami, lecz kap. Görits zapewnił nas, że sąto wyćwiczeni żeglarze, z którymi nawet na morze puściłby się nie wahał. Zajęliśmy więc miejsce w małej łódeczce, podziwiając zręczność, a zarazem urodę tureckich chłopiąt. - Przybiwszy do brzegu, poczęliśmy zabierać nasze okrycia i koszyk z prowiantem, ale kapitan radził zostawić wszystko pod opieką chłopaków, których uczciwość jest znana. W zdumienie i zachwyt wprowadziła nas wprost klasyczna piękność żołnierza, stojącego na blankach twierdzy na warcie. Odziany w potargany, niegdyś biały burnus, w czerwonym fezie na głowie, wsparty z niewypowiedziną gracyą na karabinie, był wspaniałym modelem dla malarza. Widząc nadchodzących wojskowych, Turek sprezentował broń. - Wysepkę zamieszkuje uboga ludność, z malańką załogą, a rządy sprawował basza, młody jeszcze, posiadający harem z trzech żon. Budynki skromniutkie i małe, kilka sklepików z mieszanymi towarami, kilka lichych kawiarni i mały meczet ze smukłym minaretem stanowiły osadę. Przeszedłszy mury forteczne, zaraz na wstępie zostaliśmy otoczeni gromadą dzieci, przeważnie małych dziewczynek, przypatrujących się nam z ciekawością. Dzieci nie były natrętne, jak we Włoszech lub w Kairze; przypatrywały się nam dyskretnie, bez zaczepki, a na zapytania odpowiadały ~~grzecznie~~ uprzejmie. Chwaliły się jedynie, pokazując nam drobne swoje dłonie, tatuowane w różne znaki kolorem bronzowym. - Ładna to rasa ludzi, o rysach regularnych, smagłej cerze, ciemnych włosach i ślicznych, piwnych lub czarnych oczach. Kobiety chodzą wszystkie po ulicy zakwefione, w sukniach bronzowego koloru bardzo luźnych, coś na kształt habitów zakonnych. Kwef z płótna białego, odsłaniający tylko oczy, i ciżmy skórzane na drewnianych podeszwach dopełniają stroju tureckiej elegantki. W skromnej kawiarence wypiliśmy goracej, na sposób turecki - t.j. z miałkiemi fusami, wraz z cukrem na zimnej wodzie ugotowanej kawy w gatunku bardzo lichym, podanej nam uprzejmie przez kawiarza w filiżaneczkach bez uszka, w kształcie naszych kubków do jaj. - Imponująca cisza panowała w kawiarni, mimo że 10-u Turków siedziało na małem wzniesieniu, paląc

 Puściliśmy się wzdłuż niej piaszczystym brzegiem i ujrzeliśmy niezwykłe zjawisko:

tytoń i popijając kawę. Cisza panowała też na placyku i ulicach, choć ludzie szli licznie do meczetu, gdyż był to piątek; z tej przyczyny nie uzyskałyśmy wstępu do haremu baszy, który -jak nam mówiono- jest bardzo gościnny i podejmuje chętnie osoby odwiedzające wyspę. Wszak to jedyna jego rozrywka na tym nudnym posterunku.- W jakimś kramiku, otwartym mimo święta, pokupiliśmy dary podróżne dla przyjaciół- różne drobiazgi. Kiedy chciałam przeliczyć resztę wydanych pieniędzy, kap. Görits powstrzymał mię od tego, gdyż byłby to afront dla uczciwego Turka. I rzeczywiście ani grosza nie brakowało, jak się później przekonałam. -Zwiedzanie wysepki zajęło nam wiele czasu. ~~Puściliśmy się w kołobpiaszczystym brzegiem, z którego ... i ujrzeliśmy niezwykłe zjawisko:~~ na białym piasku gęsto rozsiane jakby kretowiny. Przybliżywszy się, rozpoznaliśmy olbrzymie żaby czarniawego koloru, wygrzewające się w zachodzącem słońcu. Nie poruszały się i nie uciekały przed nami, dopiero po dłuższych usiłowaniach naszych panów udało się jedną z nich podważyć szablą, ale nie odskoczyła ani daleko, ani wysoko w stosunku do swoich rozmiarów/jakieś 5o. cm. długości/. Towarzyszki ani się poruszyły.

Opuściliśmy wyspę, odprowadzani do bram fortecy przez tęsamą gromadkę dzieci, żegnającą nas uprzejmie, a bezinteresownie, gdyż żadnego podarunku przyjąć nie chciały. Przewoźnicy nad przyjętą, nizką taksę też nic nie wzięli, lecz w ofiarowane z zapasów naszych bułki natychmiast zatopili białe zęby. Wszedłszy do czekającego na brzegu rzeki powozu, wyruszyliśmy do Wrót Żelaznych, do rumuńskiej wioski Verciorowa. Granicę stanowił najzwyklejszy, otwarty szlaban, jak na rogatce; straż w tem pustkowiu składała się z jednego żołnierza, którego umundurowanie na pierwszy rzut oka w wesołość, ale i w żal nas wprawiło: wojak odziany był w parciane, obszarpane dołem spodnie, takąż koszulę, wyglądającą z pod zielonego, wypełzłego i podartego munduru, na którym zamiast szynelu zawiązana była chustka w kratę, jaką u nas baby wiejskie noszą. "Munduru" tego dopełniało czerwone "kepi" na głowie.- Nie myślałam wówczas, że z tego zaczątku rozwinie się jeszcze za mojego życia armia rumuńska, która okry-

je chwałą swe sztandary i tak powiększy swą ojczyznę. Ale wszak to i w początkach naszej niepodległości niewiele lepiej odziani bohaterowie bronili Lwowa i zdobywali Wilno...

Żelazne Wrota-owa największa zapora na Dunaju-przedstawiły nam się bardzo pospolicie:z daleka wyglądały jak kamienie na górskiej rzece, po których na drugi brzeg przejść można.dopiero z blizka patrząc, przekonać się było można, jak potężną przeszkodę w żegludze stanowiły te rafy podwodne i trzeba było nielada pilota, obeznanego ze zdradliwą głębią,aby nawet przy wezbranej rzece przeprowadził statek przez te skały, których szczyty teraz, przy nizkim stanie wód, wyglądały na powierzchnię w regularnych odstępach. Dziś przeszkoda ta została już przez przemyślność ludzką usunięta, a romantyka Dunaju nic pewnie na tem nie straciła.- Powracających obdarty szyldwach salutował z uprzejmym wyrazem twarzy; widocznie pojawienie się nasze w tem bezludziu sprawiało biedakom pewną rozrywkę.Przystanąwszy przy rogatce, zebraliśmy pozostałe nam prowianty i z dodatkiem pół butelki wina umieściliśmy w przydrożnym krzaku dla pokrzepienia strażnika, któremu w lekkim stroju chłód wieczoru podwójnie musiał dawać się we znaki.Ledwie ruszyliśmy z miejsca,żołnierz- obejrzawszy się dokoła czy jego zejścia z posterunku nikt nie widzi-począł wyciągać z krzaka tak niespodziewanie zdobyty skarb.

Kiedy mijaliśmy Ada-Kaleh,właśnie zachodziło słońce i z wieży meczetu doleciał nas smętny głos muezzina, obchodzącego ganeczek minaretu i wołającego wiernych na wieczorną modlitwę.- Jednej rzeczy nie mogę darować tegoczesnym Turkom i ich wodzowi Kemalowi,a to skazania na umilknięcie tego głosu wieczoru wschodniego- ileż stracić musiał na tem niezrównany nastrój wieczoru tego-czem byłby u nas krajobraz wieczorny bez dzwonów na "Anioł Pański?" I co może pomódz państwu zamilknięcie głosu modlitwy?

I nas ogarnął jakiś nastrój melancholijny- rozmowa umilkła- a ja poczęłam rozmyślać nad tem, jak nasz towarzysz podróży-człowiek widocznie kulturalny i z wyższem wykształceniem-może wytrzy-

mać w tem bezludziu?Jakby odgadując myśli moje,rzekł kap. Görits z westchnieniem:" Eine von Gott vergessene Gegend"...Na nasze zapytanie, co go skłoniło do zakopania się tutaj,odpowiedział:"Twardy obowiązek żołnierza- stosunki rodzinne żony Orsowianki$...Lubię czytać,mam zasobną bibliotekę,trzymam dużo pism peryodycznych, które mię łączą ze światem; wreszcie wyjazdy służbowe do większych miast-oto, co mnie podtrzymuje umysłowo w pustynnych kresach.-Ruch pasażerski jest tu wprawdzie wielki, ale przeważnie handlarze nierogacizny odwiedzają ten czarowny świat;a już za fawor losu uważm sobie zjawienie się takich, jak państwo pasażerów".-Na te pochlebne słowa odpowiedzieliśmy szczerym, wcale niezdawkowym komplementem...- Tu dodać muszę, że brat mój od znajomego w Białokościele dowiedział się,iż biedny kapitan miał żonę skutnicę i szalenie zazdrosną- i że koledzy przepowiadali mu gorżkie sceny z powodu dwödniowej wycieczki w towarzystwie obcych dam...

Nazajutrz o wczesnym, mglistym ranku znaleźliśmy się ponownie na statku, gdzie poczciwy Görits nas już oczekiwał. Pożegnanie z miłym towarzyszem podróży było serdeczne- przyrzekliśmy, że w następnym roku w letniej porze powtórzymy wycieczkę. /Boże- jakże zawodne są zamiary ludzkie.../

Z odbiciem statku jakoś się ociągano- widocznie oczekiwano jeszcze na pasażerów. Jakoż po chwili pokazało się na wybrzeżu kilka osób, podążających w stronę statku. Wojskowy serbski prowadził pod rękę damę w podeszłym wieku, wyprzedzało ich dwoje prześlicznych dzieci, chłopiec i dziewczynka lat 5-6, za niemi fraucymer, złożony z trzech kobiet. Dama przyjęta została przez kapitana statku z wielką atencyą,z czego wnosić należało, że była to jakaś osobistość znakomita,czego dowodził zresztą nietylko wybitnie arystokratyczny wygląd rodziny,ale również i bardzo eleganckie przybory podróżne...- Zwyczajem przyjętym między wojskowymi, brat mój i pułkownik zaraz na wstępie przedstawili się sobie. Weszliśmy wszyscy do salonu, gdyż ranek był dojmująco chłodny.

Panowie rozpoczęli wkrótce ożywioną rozmowę o wojnie rosyjsko-tureckiej, toczącej się zaledwie o dzień jazdy od Orsowy; oblegano wówczas Plewnę. Zanim panna służąca usadowiła swoją staruszkę jaknajwygodniej przy okienku, gdzie dama- wyjąwszy z torebki robotę włóczkową-poczęła szybko, bez pomocy oczu, przebierać drewnianymi drutami. Ładne wnuczęta skakały koło babuni, oddając jej różne drobne przysługi i przymilając się o pozwolenie wyjścia na pokład. Na odmowną odpowiedź dziewczynka się rozpłakała i wraz z braciszkiem wyprowadzoną została do sali, położonej w drugiej połowie statku, gdzie mieściła się ochmistrzyni Rumunka i bona Francuzka.- Zauważyłam, że stara dama dyskretnie, lecz dosyć często zerka w naszą stronę i po chwili pułkownik, który już wcześniej nam się przedstawił, zapytał uprzejmie, czy nie zechciałybyśmy się zapoznać z jego matką? Chętnie uczyniłyśmy zadość wezwaniu sympatycznej staruszki. Nasze nazwiska niewiele jej wprawdzie powiedziały, mimo to ożywiona rozmowa bez banalnego wstępu, potoczyła się łatwo. Pani Katerdżi mimo podeszłego wieku zachowała ślady wielkiej urody: rysy regularne, klasyczny profil, oczy duże, pełne jeszcze blasku, bujne, zbielałe włosy, czyniły ją przy wspaniałej postawie bardzo interesującą. A więc w tej wielkoświatowej, miłej, łatwej parze zyskaliśmy znowu sympatycznych towarzyszy podróży.

Do wybornego śniadania /statki Lloyda słyną z dobrej kuchni/ zasiedliśmy w 6. osób, gdyż towarzyszył nam kapitan statku, i rozmowa zeszła na sytuację polityczną danej chwili. Przyjaciółka moja, p. Honorata, była zagorzałą polityczką, więc poczuła się w swoim żywiole, wpadła w ferwor i zaczęła wygłaszać o Moskalach swoje aż nadto usprawiedliwione sądy, nieprzyjemne jednak dla słuchaczy należących do narodu, który się właśnie wówczas przy pomocy Rosyi z wiekowej niewoli wybijał.- Nie biorąc udziału w drażliwej kwestyi, wysunęłam się z salonu, pragnąc przedrzemać się w kajucie, lecz dzieciaki zatrzymały mnie i wciągnęły do swej sali w celu pokazania mi upominków, jakie wiozły dla swego małego kuzynka w Białogrodzie. Uważna ochmistrzyni, obawia-

jąc się, aby dzieciaki nazbyt mię nie umęczyły, odwołała je do siebie, z czego skorzystała Francuzka wygadana i przysiadłszy się do mnie, bez najmniejszej z mojej strony zachęty opowiedziała mi cel podróży swoich państwa, po części zdradzając ich incognito, a nawet różne tajemnice rodzinne. Od samej pani Katerdżi wiedziałam, że jedzie do Białogrodu w odwiedziny do wnuka, gdzie od roku przybył pierwszy synek, którego jeszcze nie znała, mieszkała bowiem w Bukareszcie. Rewelacye Francuzki brzmiały jak następuje: Sympatyczna towarzyszka naszej podróży jest babką panującego w Serbii ks. Milana Obrenowicza, ożenionego od lat dwóch z Natalią Keszko, Rosyanką. Chłopczyk i dziewczynka są dziećmi starszego syna p. Katerdżi, konsula rumuńskiego w Paryżu, ożenionego ze słynną z piękności księżniczką Heleną Ghika. W końcu-obejrzawszy się w stronę ochmistrzyni, zajętej dziećmi- dodała przyciszonym głosem: "Jadący z nami pułkownik Jerzy Katerdżi jest jeszcze kawalerem, nie żeni się dlatego, że szalenie jest rozkochany w swojej pięknej bratowej, lecz bez wzajemności."- W tej chwili przyszedł brat mój z prośbą, abym powstrzymała p. Siedlecką w jej ferworze anti-rosyjskim, bo wobec przelotnej znajomości ze staruszką uważał za niestosowne jej dowodzenia, tembardziej gdy mu powiedziałam, kim są nasi towarzysze podróży. Wszedłszy do salonu zastałam p. Siedlecką z podniesionym groźnie palcem wskazującym ręki prawej, z luźnym piątym drutem od pończochy, którą robiła, wymawiającą te słowa: "Pożałujecie kiedyś przyjaźni z Rosyą. Nemezis dziejowa czuwa i będziemy pomszczeni."Te mocne słowa groźby, kontrastujące z "bronią", trzymaną w ręce, wywołały-jak mi się zdawało-na chwilę lekki uśmiech na usta staruszki...Nie przeczuwała, że zawierucha dziejowa, która nam przywróci wolmość, a Serbię uczyni dużem państwem, poprzedzona zostanie ohydną śmiercią tego prawnuka, którego przybyciem tak się cieszyła...-Pragnąc położyć koniec niemiłej rozmowie, odezwałam się na inny temat; p. Siedlecka skapitulowała nie bez pomruku /gdy jej po-

wiedziałam, kim jest pani K:" Nic nie szkodzi- niech wiedzą, jakich mają przyjaciół..." /-Z pomocą przyszło mi dobroczynne słońce, pierwszy raz tego ranka rozbłysłe, więc zaproponowałam wyjście na pokład, gdzie przesiedzieliśmy do obiadu,rozkoszując się powtórnie przepięknym, dzikim krajobrazem.- Wczasie obiadu rzekła nagle pani K.:"Czy to być może, abyście państwo, będąc już tak blizko ominęli Belgrad?" Brat mój wymawiał się krótkością urlopu, a ja słabością Ojca, lecz p. Siedlecka wygadała się ,że ma wBelgradzie krewnego, dra. Gąsiorowskiego, dyrektora szpitala, a my dobrego znajomego,pułkownika Kajetana Chodylskiego. P. Katerdżi zadecydowała więc, że nas zabiera jako swoich gości,z obowiązkiem odstawienia nas pod dobrą opieką koleją lub statkiem do Białokościoła.Z trudem największym wymówiliśmy się od uprzejmego zaproszenia.- Staruszka z wielkiem była uznaniem dla dra. Gąsiorowskiego,znakomitego ginekologa, który wyprowadził żonę jej wnuka z ciężkiej choroby. Żywo zapewniała nas o wdzięczności dla niego i że rada byłaby zrobić mu miłą niespodziankę, przywożąc dwie Krakowianki.- Przyznaję, że na chęci odwiedzenia znajomych w Białogrodzie wcale nam nie zbywało i już w Białokościele projektowaliśmy wracać statkiem naBelgrad i Bukareszt, lecz wobec uprzejmej propozycyi pani K. projekt ten upadł, gdyż wybrane tylko w podróżnych kostyumach, nie mogłyśmy przecie pokazać się na dworze panującego.-Pogodne popołudnie spędziliśmy na pokładzie. Przybijając wczesnym wieczorem do Bazyas, zobaczyliśmy czekający na p.p. Katerdżi śliczny yacht, ozdobiony zielenią i mnóstwem flag o barwach serbskich. Z yachtu wysypała się świta,składająca się z kilku bardzo eleganckich dam i znacznej liczby wojskowych,których przewodniczący jaśniał mnóstwem orderów na piersiach; wszyscy w galowych mundurach.- Pożegnanie nasze z p.p. Katerdżi -widoczne i poparte całowaniem się "z dubeltówki" nas z panią ; a brata mego z pułkownikiem- zadziwiło pewnie dworzan ks. Milana, ale twarze ich wyrażały raczej uśmiech uprzejmości. Jeszcze ostatnie uściśnienie rąk, następnie wiewanie chustkami z oddalającego się statku- szczególnie silne ze strony dzieci- i towarzysze podróży zniknęli nam z oczu na zawsze...

Część 4-ta - Powrót.

Po tydodniu miłego pobytu u brata Michała, po pełnych przyjemności iurozmaicenia wycieczkach, nadszedł czas powrotu.Wyjechaliśmy nocnym pociągiem, brat kochany odprowadził nas do stacyi Vojtek. Po drodze projektował dłuższy urlop z wiosną, a my miałyśmy go odprowadzić w lecie i powtórzyć wtedy wycieczkę Dunajem.Mimo to żegnaliśmy się ze ściśniętem sercem, oboje rozrzewnieni/.

Rano na stacyi Gödölö, kiedy pociąg zwolnił, ujrzała p. Siedlecka na peronie stół,założony bardzo ponętnie wyglądającymi obwarzankami i owocami; kiedy konduktor otworzył drzwi wagonu, zapowiadając 5. m. postoju, wyskoczyła niebacznie po zakupienie specyałów,lecz nim powrócić zdażyła, pociąg ruszył. Można sobie wyobrazić moje położenie, gdyż towarzyszka miała przy sobie całą naszą kasę podróżną i bilety. Stanąwszy w Budapeszcie na pociechę dowiedziałam się,że za godzinę drugi pociąg od strony Gödölö nadejdzie. Nagle ku mojemu zdziwieniu pojawiają się dwaj celnicy i bardzo uprzejmie lecz stanowczo żądają otwarcia pakunków. Kiedy objawiłam moje zdziwienie z tego powodu,że przecież nie przyjeżdżm z zagranicy, odpowiedzieli mi, że jadący od granicy rumuńskiej muszą się poddać formalnościom celnym. Klucze od kuferkuf były w torebce mojej towarzyszki, więc celnicy musieli przeczekać cierpliwie godzinę.P.Siedlecka nadrabiała miną, zapewniając że żadnej kontrabandy nie wieziemy, lecz zaniepokoiła się,gdy celnicy, zamykając mój kuferek, w którym nic do oclenia nie było,rzekli: "My szukamy tylko tytoniu tzreckiego". Honorcia znowu jęła zapewniać, nie wiezie inkryminowanego artykułu, kiedy po otwarciu drugiego

---

/. Wuj Michał umarł następnego roku z początkiem wiosny. Padł ofiarą wyczerpania organizmu w kampanii austryacko-włoskiej 1859.r. i przebytej wtedy cholery, której skutki zawsze uczuć się dawały.Zywienie się przeważnie kawą -gdy innych rzeczy brakło- pozostawiło mu na całe życie okropną bezsenność.

kuferka uderzyła wszystkich otaczających silna woń tytoniu, którego dwa wiedeńskie funty wiozłyśmy dla znajomych na upominki podróżne. Poczęliśmy wszyscy chórem kichać, a to tak potężnemi salwami,że zmieszani celnicy, nie chcąc się widocznie prawować z babami o ilość tytoniu, która nie mogła być duża- jak wskazywały rozmiary pakunków,kazali je pozamykać, machnąwszy ręką...Rade z humorystycznego zakończenia sprawy, opuściłyśmy dworzec.

---

iglicach, robił też wówczas wrażenie czegoś "z igły": wnętrze jego w słoneczny dzień sierpniowy pozostawiło mi wspomnienie mrocznej, kolorowej wizyi. Utkwił mi w pamięci ołtarz, cały przybrany złotemi różami "cnoty", jakie papieże ofiarowali w ciągu wieków monarchiniom węgierskim. Pamiętam, jak już myślałyśmy zrezygnować ze zwiedzenia tego koronacyjnego kościoła, gdyż w żaden sposób nie mogłyśmy się dogadać z nikim , ktoby nam chciał otworzyć... Choć starsze pokolenie rozumiało jeszcze wówczas wybornie po niemiecku, za nic nie byłoby się do tego przyznało- dopóki przemówienie innym, nie-niemieckim językiem nie przekonało ich, że mają do czynienia istotnie z cudzoziemkami.

Budzin, położony na stromej górze, daje pole do wyzyskania piękności krajobrazu, co tu uczyniono w całej pełni: oprócz kolejki linowej koło starego tunelu pod zamkiem królewskim, łączą wybrzeże ze starem miastem dwa prześliczne zejścia- jedno od nowego zamku, złożone ze schodków i tarasików kamiennych, oraz cienników, pokrytych pnączem zielonym wijących się tarasowato pod górę- drugie, za naszego pobytu jeszcze niecałkiem wykończone, w stylu cięższym, jakgdyby wczesno-średniowiecznym, schodzące bardziej na prawo, ku najnowszemu mostowi, uwieńczone ogromnym tarasem gdzie na uroczystości tysiąclecia Węgier miał stanąć pomnik św. Stefana na koniu i skąd król Węgier ostatni /na razie/ błogosławić miał mieczem cztery strony państwa.-POza Budą ciągną się przyłączone wówczas świeżo do miasta tereny lesiste-coś na kształt naszych Panieńskich Skał-stanowiące wspaniałą promenadę, z niezrównanym widokiem na miasto i wijącą się rzekę /Budapeszt jest jedną z terytoryalnie najrozrzutniej założonych stolic Europy- Węgry budowały się fizycznie na "wyrost". Szkoda, że duch nie odpowiadał temu.../- Jednym zaś z klejnotów krajobrazu stolicy Węgier jest położona na Dunaju wyspa Małgorzaty, połączona z lądem w jednym końcu mostem, ale milej osiągalna uwijającymi się ciągle wśród wybrzeży stateczkami. Nazwę ma ponoś od jakiejś węgierskiej królewny, która tam założyła sobie pustelnię, a miała dobry gust, choć wówczas wyspy nie pokrywał ten niepokalany dywan trawników angielskich, nasyconych oparem rzecznym, który podobny widziałam tylko w naszych Łazienkach czasu pobytu ostatniego cara.

w ich poczuciu potęgi i zamożności, rozwoju i wolności, oraz okazywaniu tego, było coś z żydowskiego dorobkiewiczostwa.- Otóż to wrażenie dorobkiewicza zrobił na nas i Peszt: w pseudo-gotyku wspaniałego parlamentu, cudownie położonego nad rzeką- w pseudo-renesansie bazyliki /oba gmachy wówczas dopiero na ukończeniu/oraz pałaców przy wspaniałej ul. Andrassiego- jest coś z czczości rzeczy pretensyonalnych, byle "kosztowały co chcą"..Z radością odkryłam dopiero gdzieś w kątku nad Dunajem starą farę, w której odbywało się nabożeństwo /przy budującym się wówczas ostatnim moście na Dunaju- królowej Elżbiety zdje mi się pracowano w najlepsze mimo święta Wniebowzięcia/.-Okropne są pomniki sławnych Węgrów na bulwarach nad Dunajem, z nieobliczoną perspektywą w górę, o których potomność słusznie będzie mogła pomyśleć, że mieli wszyscy wodę w głowie...-Cudowna jest tylko przyroda -istny mały"Złoty Róg"nad zakrętami rzeki- ale i tam ławki postawiano tyłem do wody, tak, że chcący się rozkoszować widokiem a nie jezdnią ulicy, siadali wszyscy twarzą i nogami do poręczy, choć damom utrudniały to jeszcze wówczas spódnice...
Urok miasta z przeszłością ma dopiero stara Buda. Nie mówiąc o zabytkach tureckich jeszcze /Łaźnia Łukasza z tak pospolitą w północnych Węgrzech termą siarczaną/ albo i wykopaliskach rzymskich jeszcze-począwszy od tunelu, wiodącego od rzeki do starego miasta a pamiętnego szturmem w r. 1849., poprzez stary pałac królewski /nowy, znowu wspaniały., a zimny barok, wykańczał się też wówczas/ do uliczek i placyków, pnących się w górę i mieszczących jak się da na górzystej przestrzeni- ze wszystkiego bije jakiś senyment dawnego, niezmożonego i pnącego się ku życiu narodu. Nawet pomnik poległych w walkach o Budę w r. 1849. na małym placyku, jest jedynym udanym, jaki windziałam w stolicy, nie pozbawionym przecież jakiejś iskry natchnienia.-Kościół św. Macieja -stawiany przez Macieja Korwina i obsiędziony przez kruki żelazne na wszystkich ~~iglicach gotyckich, także świeżo wówczas odnowiony, robił też wrażenie czegoś "ziły"; wnętrze jego w słoneczny dzień~~ sierpniow

22

Zbiorów sztuki nie zwiedzałyśmy tym razem, choć wedle opisów i tego, co wspominała Matka moja z porzedniego pobytu, mają być pokaźne; krótki czas i siły Matki, nadwerężone męczącą kuracyą w Piszczanach, niepozwalały na to. Zresztą ja jestem wrogiem przelatywania w pośpiechu trupiarni sztuki, z czego tylko zamęt w głowie powstaje, podczas gdy z obrazów przyrody układają się na całe życie miłe wspomnienia.- Oddawałam i ja cześć kuchni Węgrów- która widocznie u Matki mojej pozostawiła tak miłe wspomnienie- choć nie kuchni ściśle węgierskiej, bo ta jest dla mnie za ostra. Pamiętam, jak zażerałam się na "fogatsu"- rybie poławianej jedynie w jeziorze Błotnym /Balaton/ w zachodnich Węgrzech, choć ryb wogóle w usta nie biorę.Na pięknych "quai" nad Dunajem, odpoczywając i rozkoszując się widokiem, pochłaniałam też takie porcye lodów, jakim podobne spotykałam tylko porę lat przedtem w Warszawie...- Zresztą sezon był w całej pełni "ogórkowy" teatra poważniejsze pozamykane, publiczność elegantsza wymieciona; podobnie jak i w Krakowie teraz w wakacye, człowiek wątpi, czy to miasto wogóle zamieszkują chrześcijanie?...W stosunku do tej publiczności komfort hoteli i miasta wogóle wydawał się tembardziej "na wyrost"...
Najkrótsza droga do Węgier od nas wiedzie od lat cudowną doliną Wagu, którą tylekroć przebywałyśmy.udając się do słowackich miejscowości kąpielowych, a w której zawsze odkrywałyśmy nowe piękności, zwłaszcza niezliczone ruiny zamków, uczepione do fantastycznych zboczy gór. Jadąc od Budapesztu przebywa się jeszcze kawałek doliny Dunaju, tak różnego wśród swobodnych brzegów od tej rzeki, ujętej sztucznie w kamienne bulwary miast, jakim go dotąd znałam.Zwłaszcza piękne są miejsca koło ruin Welehradu i potężnej kopuły bazyliki w Ostrzychomiu, rezydencyi prymasa Węgier.- Krajobraz ucierpiał wówczas o tyle, że parę tygodni przed naszą wycieczką do Budapesztu przeleciała gdzieś z głębi Węgier aż poza nasze Karpaty straszliwa burza z oberwaniem chmury , gradobiciem, cyklonem- w którą i my miałyśmy "przyjemność" wpaść w powrocie z wycieczki do Trenczyna do Piszczan. Winnice zwłaszcza koło letnisk pod Budapesztem. przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy- jakgdyby wgniecione olbrzymim walcem.

----

od granicy rumuńskiej musza si poddawać formalnościom celnym. Klucze od kuferków posiadała towarzyszka moja, więc celnicy musieli li przeczekać cierpliwie godzinę. P. Siedlecka nadrabiała miną, zapewniając, że żadnej kontrabandy nie wieziemy, lecz zaniepokoiła się, gdy celnicy zamykając mój kuferek, w którym nic do opłaty nie znaleźli, rzekli: "My szukamy tylko tureckiego tytoniu". Honorcia znowu jęła zapewniać, że nie wiezie inkryminowanego artykułu, kiedy po otwrciu drugiego kuferka uderzyła uderzyła wszystkich otaczających silna woń tytoniu, którego 2. wiedeńskie funty wiozłyśmy na upominki z podróży. Poczęliśmy wszyscy kichać unisono, a tak potężnemi salwami, że zmieszani urzędnicy spiesznie kazali zamknąć kuferki, machnąwszy ręką...Rade z humorystycznego zakończenia całej sprawy, pouściłyśmy dworzec.

W papierach ś. p. Matki mojej znalazłam opisu pobytu w stolicy Węgier, który wiem, że bardzo mile wspominała, oprowadzana gościnnie przez jakiegoś wielkiego handlowca, pozostającego w stosunkach z bratem p. Siedleckiej. Niech mi zyatem wolno będzie umieścić tu wspomnienie drugiego Jej pobytu w Budapeszcie, już ze mna, o ćwierć wieku później. Węgrzy stali wówczas u szczytu swej potęgi państwowej i ekonomicznej, z którego niebawem strącić ich miała niebaczna polityka hakatystyczna, stosowana wobec innoplemiennych poddanych, podburzająca przeciw nim tychże oraz koalicyę. Głównymi promotorami tego nieszczęsnego kursu w którym Węgrzy dowiedli, że tak szybko zapomina się o przykazaniu: "Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło" - byli żydzi, dzierżący w swych rękach nietylko politykę, prasę, wielki handel, ale w ten sposób zasymilowani ze społeczeństwem, że nikogo tam już nie dziwiły mieszane małżeństwa z żydami, a przeciwnie: nasze zdziwienie z tego powodu wywoływało znowu zdziwienie. To też śliczna rasa madiarska ucierpiała mocno na tej asymilacyi i to nietylko pod względem fizycznym:

/.

46

dokoła skały, jakby chciały bronić swej dziedziny, ale nie było jeszcze wówczas samolotów, ani tak dalekonośnych dział, żeby mogły zagrażać warowni króla ptaków.

Przed zapadnięciem zmroku wylądowaliśmy w pogranicznem miasteczku Rszowa, po węgiersku Orsowa, gdyż są koło siebie dwie Rszowy "stara" i "nowa", a przyczepka "or" oznacza w języku węgierskim "stary".- Kap. Görits mie-

Rodzina Kietlińskich.

Wypełniając życzenie ś.p. Matki mej, które wyrażała sobie zawsze, iż nie zdążyła za czasów względnie lepszego zdrowia, poświęcić we wspomnieniach swych ustępu rodzinie Mojej, do której była szczerze przywiązana — pozwalam sobie tu dodać to, co w opowiadaniach Matki w tym przedmiocie słyszałem.

Rodzina Kietlińskich herbu Odrowąż od prawieka osiadła w Radomskiem, posiadała wiele obszerne włości w różnych stronach Polski. Tak n.p. dobra Lichawa w późniejszej „Łódzkiej" tworzyły nawet coś w rodzaju majoratu; przed wojną jeszcze zgłaszali się do nas dalecy koligaci z Litwy — wiem, że w armii gen. Żeligowskiego, która czasu przewrotu przedarła się do nas wśród bohaterskich bojów z potęgą Rosji, było kilku Kietlińskich z Podola, który dotąd służą w armii polskiej. Że z tych wszystkich świetności mam — coś podobnie, jak J. Beniowski — syn.

graf. z M. Boskiej, order przypięty bratu mojego dziadka na polu bitwy przez Skrzyneckiego, książkę po moim stryju - Sybiraku i - odwieczne, mosiężne szczypczyki do obcinania knotów u świec... -

Kiedy moja Matka wychodziła za Ojca (28. sierpnia 1869. r.) dziadek - Ludwik Kiełtiński, otoczony powszechnym szacunkiem kasjer Tow. Kred. Ziems. w Radomiu - miał już tylko małą wioseczkę Pelitów koło Szydłowca, puszczoną w dzierżawę. Ojciec mój był urzędnikiem Komisji Skarbu, zaprowadzonej przez ks. Lubeckiego i jako ostatnia instytucya polska świeciła wówczas zgnębionej przez Moskali w „Kraju Przywiślańskim”... Ojciec przeszedł do Izby Skarbowej w Radomiu - a brat jego starszy, Stanisław, prawnik znajdował się już wówczas od lat 6-u na Syberyi, w kopalniach Nerczyńskich. Fawor gubernatora, potrzebującego nauczyciela do swoich dzieci, wybawił go od- to tego czasu od taczek - ale× do kraju miał wrócić dopiero po dalszych 5-u latach, długo pozostać pod nadzorem policyjnym, a zdrowia już nigdy w pełni nie odzyskać, co spowodowało jego śmierć przedwczesną z [illegible] grypy w r. 1894. w Warszawie, gdzie osiadł jako adwokat - pozostawiając obfitą schedę w dobrej pamięci ludzkiej,

× przeżył jeszcze lat parę w domku wygnańczym z Maryanem Dubieckim i Benedyktem Dybowskim, którzy o nim do końca życia wdzięczne zachowali wspomnienie, a

ak ius w brzęczącej menażerii... – Pamiętam tego stryja z pobytu w Palikowie we wczesnem dzieciństwie i z jego przyjazdów do Krakowa – n.p. na sprowadzenie zwłok Mickiewicza w r. 1891. Wysoki, długi z postawy i twarzy – typowy Kiełbiński – pochylony już zawsze od czasów nieszczęścia, z uśmiechem ogromnej dobroci na twarzy. Podarował mi wówczas „Wieczory pod lipą" – i może tą książką, na której kryje się dziś przemądry fachowiec, przyczynił się (obok nastroju domowego) do zaszczepienia w sercu jedynej bratanki jedynej namiętności jej życia: miłości Ojczyzny. Była to jedyna książka, którą czytałam często w dzieciństwie – najczęściej siedząc na stołeczku u stóp mojej „Fräulein Anna", która choć kuta, austryacka Niemka, niezłą była słuchaczką dziejów Polski. (Także stryjem: pochodziła bowiem ze Śląska Cieszyńskiego i nazywała się Pośpiech.) –

Gdy więc Matka moja wychodziła zamąż, niewesoło było w domu dziadostwa K.: świeżo przeżyte powstanie (które i Ojca mego i szwagra jego zapoznało choć przez krótki czas z cytadelą warszawską, a dom przetrząsało rewizyami i t.p.; jeden syn na Sybirze;

30 4.)

w dodatku siostra Ojca, Teofila Konczykowska cierpiała na melan-
cholię po stracie ukochanej córeczki. – Młodą kobietę, przyzwyczajoną
do żywego wówczas życia towarzyskiego Krakowa – do licznego grona
krewnych i koleżanek – otoczyła głusza prowincji w Kołaczkowie po 63-im,
smutek i gorycz starych ludzi. – Przy dziadkach bowiem mieszkały dwie
siostry dziadka, stare panny, Elżbieta i Maryanna. Pierwsza wysoka,
bardzo chuda – prawa Kiełtczyńska, i chyba nigdy nie ładna. ~~Druga ...~~
~~... K! ... ,~~ Elżbieta zawołana heraldycz-
ka – znająca na palcach genealogię szlachty przynajmniej z połowy terenu
dawnej Rzpltej, jak p. Makowiecka z „Dołęgowskiego" – w owe dziecięce
„sztandar rodów", „Spała na drzewie" – jak uważali jej młodzi – [illegible]-
[illegible] genealogicznym Kiełtczyńskich. Dobra czyniła – jak pokazała przysz-
łość, dzięki temu bowiem, pozostałem po jej śmierci bez opieki, pozwo-
lono się potem spalić ze starym dworkiem w Pełtowie. Widziałem
Elżbietę w domu tylko utrzymanie porządku i wszelkie krawieczenie. Od
razu do mej ciekawa sprężynie nad ładem domowym – już jako wielka
staruszka „działała" po strychach i piwnicach a herbarz Niesieckiego
(jej niestrudzenie ulubiona lektura – przekładany był papierami jedwa-
bnym we wszelkich kolorach. Tylko gdy zmiarkowała, że ojca bratan-

[x Gdy do Matki przyszła swaszka, przyniosła staruszka stolik; „bo przecie nie wypada, aby
jadła z wami..."

ka (której podobno wiele obawiano się w rodzinie jako panny „z wielkiego świata") również porządek utrzymuje w domu, a we wszelkich robotach ręcznych jest mistrzynią — nabrała dla niej wielkiego uszanowania. Sympatya ta — odwzajemniona — przetrwała do śmierci babki Elżbiety, po której imię jeszcze Matka nadała mnie, często u kobiet z rodziny K. — zwłaszcza u tych, które zostały staremi pannami... I w tem więc nie sprzeciwiłam się tradycyi — odziedziczyłam po mej imienniczce też zamiłowanie do czytania i modłych [illegible] — ze co nam obu Matka moja, lubiąca „jaś" ostro, srodze urągała — nie odziedziczyłam tylko towarzyskości, z której tamtą „Elżbietkę" słynęła: podobno jeszcze w domu rodzicielskim, gdy zdarzyło się wyjątkowy dzień, iż do wieczora nie miał żadna bryczka ani tarantas z gośćmi nie ukazywał się na drodze do dworu — obie z matką chodziły niespokojnie od okna do okna, a wreszcie kazały zaprzęgać i ruszały w sąsiedztwo...

P. Maryanna była jej zupełnie przeciwieństwem siostry: wyjątek w rodzinie Kietlińskich — była matczynka, to utemna. W domu prowadziła kuchnię, na której wyłącznie się znała, owym staropolskim sposobem, który wówczas zwano ekonomicznym, „średnioszlacheckim", z której dziś wywołuje wesołość u wnuków... Za młodu spędziła dłuższy czas u Pytlej Krakowskiej,

i sentyment, jaki od tego czasu żywiła do tych stron, zbliżył ją
też do mojej Matki. – Wspominam tę babcię jeszcze z pobytu w Po-
litowie i z czasu jej pobytu w naszym domu w r. 1892. Widzę jej maleń-
ką postać sunącą wczesnym rano w stronę drzew śliwowych, gdyż zawsze
na czczo jadła śliwki, a potem dopiero piła kawę... Może dlatego też
utworzyło się na zimę tyle śliwek z kminkiem na patyczkach – w przy-
zadaniu, czego moja 5-o letnia pamięć żywy obraz utrzymała. A miała
wtedy babcia Marysia już dobrze pod siedemdziesiątkę... Ogromnie bawi-
ły ją obawy mojej Matki przed bandytami (wieś była istotnie nawskroś
złodziejska, pełna koniokradów i uciekinierów z Sachalinu), n.p. gdy
Matka przytaszczyła ze śpichrza drąg folwarczny i umieściła go pod
łóżkiem, by w razie potrzeby drwonić na panów (mego Ojca, stryja,
ich siostrzeńca i kolegę tegoż) nocujących w nowym, kamiennym domu w
głębi ogrodu, podczas gdy my trzy zimowałyśmy odwieczny, zapadnię-
ty w ziemię dworek, oddzielony od ogrodu drogą i strugą normalnie
ekonomowi, aż do pożaru dworu. – Lato, które babcia spędziła po-
tem z nami w Krakowie, należało do najpiękniejszych, jakie w życiu
pamiętam. Potem po przedpołudniowej kąpieli w Wiśle nie ruszałyśmy
się już z domu aż po kolacji. Wtedy z babcią, przyjaciółką mej Mat-
ki, p. Honoratą Siedlecką i moją Fräulein Anną szłyśmy na spacery
w stronę Wawelu (gdzie się wówczas jeszcze widywało Austryjaków...)

i dziś niedaleko, gdzie babcia bez zmęczenia życia" mogła, siada-
łyśmy na ławce na pogawędkę – głównie o gwiazdach, które mnie
zawsze ogromnie interesowały. Po powrocie, siedziałyśmy z Matką już ulo-
żyły się w naszym wielkim pokoju sypialnym, babcia ubrana w biało-
ki kaftanik i takiż czepeczek, z p. Anną, jako dwa „nocne marki", pod-
ziwiawszy na przestrzeni okna w saloniku jedynym, gdzie sypiały, dłu-
go w noc oddawały się rozmowom. Mówiono mi później, że babcię szcze-
gólnie wzruszał los „ciemnych" biegających po ulicy... rzecz u dziew-
czątki z wychowaniem z przed wieku dość rzadka... – Niedługo potem
rozwinął się u biednej babci Marysi rak w klatce piersiowej, całe ży-
cie gniecionej przez gorset, i umarła w Warszawie u stryja Stanisława,
u którego mieszkała. Potem ją pochowali na Powązkach.
Obie te siostry dziadka łączyła najczulsza przyjaźń z bratową swej
Amelią z ~~Januszewiczów~~. Matka do końca życia z rozrzewnieniem
wspominała harmonię panującą w tym domu, wbrew utartym opiniom
o przebywaniu pod jednym dachem kilku kobiet, w dodatku zaś sta-
rych panien. Ale było też całe to grono – z dziadkiem starszym – odzna-
czało się dziwną prawdziwością i dobrocią. P. Maryanna nie miała też sz-
częśliwości osób ułomnych, ale obdarzona może najżywszym w tem gronie
umysłem, spostrzegawczością i cichym dowcipem, często pozwalała sobie
na jakąś o kimś uwagę – najniewinniejszą zresztą. Wtedy zaraz po-

została tójca strofowała ją łagodnie: „Nie trzeba tak! Marysia to zawsze coś wymyśli...” – „Kiedy to prawda!” „To tembardziej nie trzeba.”
stryjeczny dziadek
Pośród tych starców domowych, żył jeszcze patriarcha rodu, Edmund Kietliński w majątku swym Kadarkowie, z żoną Sabulińską, ongiś podobno wybitną pięknością. Córkę ich Leokadię Zdzitowiecką, choć jeszcze młoda, też już nosiła tylko ślady urody, zepsute dzięki zbyt licznemu potomstwu, choć przychodziła do niego otwarcie tatko... Obie te panie zastanawiały, Matkę typem wybitnie semickim, który odżył jeszcze w jednej z wnucząt Leokadii, bardzo zresztą ładnej. Tymczasem mezaliansu świeższych sfer wiejskich po ze stanem szlacheckim były nie do pomyślenia, musiała to być przymieszka ormiańska, tak częsta u szlachty polskiej. – Syn Edmundostwa K., Józef – był niedorozwinięty umysłowo, a że dawniej nie przeszło nikomu na myśl takiego ubezwłasnowolnić, piękny majątek poszedł w rozsypkę. Podobno synowie Józefa – jeden ksiądz, drugi adwokat – żyją gdzieś w Warszawie czy Kielcach (a przynajmniej żyli przed wojną), ale nie zachowaliśmy z nimi kontaktu. – Zdzitowieccy, mąż Leokadii K., też nie nadawał się do pomnażania majątku... Gromada synów i córek – jedne ładniejsze nie drugie, pełne talentów towarzyskich i poważnie bystre – chowała się jak Bóg dał. Córki dobrze powychodziły za mąż, synowie jak mogli pchali się przez życie, dopiero jako dojrzali ludzie oddając krzywdę, jaką im tem zaniedbaniem uczynili, wiecznie korzystając ze zabawy, od ko-

minkę do kominka" rodziny. – Tak się złożyło, że Rodziców moich połączył daleko serdeczniejszy stosunek z dziećmi tej stryjecznej, niż z dziećmi rodzonej siostry Ojca, który też w jedynym wypadku i mnie jeszcze łączy z pokoleniem następnem.

Rodzony brat dziadka mego Leopold – ów oficer armii Skrzyneckiego – umarł na emigracji. Brat Babki – Teofil Jamarowicz, „pan Pisarz" (nie wiem jakiego urzędu) jak go nazywano w rodzinie – żył w Radomiu. – Ojciec uprzedził Matkę, że na serdeczne przyjęcie z jego strony niema co liczyć, bo wuj jest znanym wrogiem rodzaju niewieściego; bratanka wydziedziczył, gdy ten się ożenił! Tymczasem ku zdziwieniu wszystkich stało się wręcz przeciwnie: „p. Pisarz" okazywał „pani Aleksandrowej" od początku i zawsze największą atencję. Czy to, że jego mizoginizm nie był – jak to się zwykle zdarza – jakiemś uzasadnieniem we wspomnieniach przeszłości i że na urodzie niewieściej znał się... czy że Matka przez swego ojca była obeznana gruntownie z tradycjami Stołecznego Miasta, o których staruszek lubił gwarzyć, bo tam spędził młodość – dość, że Matka stała się niezbędnym członkiem familijnych zebrań u niego, na których zawsze pojawiała się pieczeń wołowa, znakomicie przyrządzona przez kucharza (gdyż p. Pisarz był znanym smakoszem) i wiejski chleb z wiejskiem masłem do herbaty. Wszystko wybornie – ale nie powód to. – Nieodłącznem dopełnieniem tych zebrań był koncert – olbrzymim o ogromnym [illegible], z ro-

draju tak zw. kotów „rzeźnickich”, które jeszcze z dzieciństwa pamiętam, a których się już teraz jakoś nie spotyka.

Wspominała też Matka parę typów z dalszej rodziny - jak również stare panny: Sylwerę i Maryannę Święcickie, z których jedna (Maryanna zwana „kuzyną”, zdaje mi się, z typu t.zw. „dragonów”) nosiła zawsze w watówce cały swój skarb: istotnie piękną i cenną staroświecką broszę rodzinną, którą na prośby młodych wyjmowała i pokazywała. - Wreszcie dopełniała grona niemłoda też już wówczas kucharka dziadków, Urbanowa, która umiała dożyć lat matuzalowych, gdyż pamiętam, że będąc już za mego życia jeżdżąc corocznie do Radomia zawsze ją spotykał. - Kiedy mowa o domownikach, pominąć nie mogę psa Rodziców „Parola” (coś na kształt pudla), znanego szeroko na cały Radom, gdy n.p. wymknął się Matce w czasie mycia - której to operacji srodze nie lubił - i trzymaną ją w ręku, wylał na siebie farbkę, przeznaczoną na dokończenie jego toalety sobotniej; i tak pół-biały, pół-szafirowy gnał przez miasto niby w barwach ukochanego swej Pani - Krakowa - podziwiany przez ludzi i psów jako twór tajemny... Przybłęda - zorientował się szybko w stosunkach rodzinnych i wykalkulował, że obiad odbywa się w trzech domach familijnych kolejno, w miarę tego, jak panowie wracają z biur: najprzód u dziadków, potem u Rodziców, a najpóźniej u Kleniewskich;

i nie zaniedbał nigdy z tego szczęśliwego zbiegu okoliczności wyciągnąć dla siebie konsekwencji... Ale do dziadków pociągało go i uczucie wyższego rzędu: jego niezaspokojony instynkt społeczny znajdował ujście w stronę tamtejszej licznej rodziny. Matka już na to się zrezygnowała, skoro jej liberalizm miał granice; staraniem więc Parolka było zapaść, gdy one pasały, ku olbrzymiemu piecowi piekarskiemu w kuchni, w którym kazały rozpalać, i ogromnym, srebrnym pyskiem wymawiać sen maleńkie kreatury – krzyczeć i bawić... to one też z utęsknioną dziecinną tęsknotą wyczekiwały.

Matka moja nigdy nie utyskiwała na tych licznych starców w otoczeniu; twierdziła, że tak byli pogodni i nie nudni, że nigdy jej się nie naprzykrzyli. Była też z domu przyzwyczajona bardziej do towarzystwa starych ludzi, niż to jest młodzież dzisiejsza – a przytem także z usposobienia spokojna, choć bardzo towarzyska+) – Gorsze były nieuniknione konsekwencje takiego składu rodziny: długie choroby, a potem zgony. Tak chorowała babka Elżbieta na ciężkie objawy sklerotyczne, zanim zwalczyły to żelazną naturę – tak babka, tego dłużej powalona bezwładem paraliżu... Dodawszy do tego żałoby ze strony swej rodziny – po bracie i ojcu – Matka z 12 lat pobytu w Radomiu dużą część przechodziła w żałobie. – Na domiar złego umarła jeszcze druga córecz-

+) jakby w nagrodę za to poszanowanie starości sama do najpóźniejszych lat mimo podeszłego kalectwa zachowała umysł tak świeży i usposobienie tak pogodne, że młodzi ją bardzo lubili i radzi odwiedzali. –

wujostwa Kończykowskich, 5-o letnią Amelkę, co Matkę mocno dotknę-ło tem głębiej, że nie mając sama przez 12. lat po ślubie dzieci, a spec-jalnie życząc sobie córeczki, bardzo przywiązała się do tego dziecka, które znów ze swej strony serdecznie przylgnęło do tej ciotki — może zwłaszcza po-mimo nastrojem matki po śmierci starszej siostrzyczki i tym ogólnem, o którym niekiedy bałem, który każe inaczej traktować i zapominać po-zostałych wobec tego, co odeszło.

Mimo to wszystko Matka — przyzwyczajona, jak się zdaje, do ożywionych stosunków towarzyskich w Krakowie — nic nie przykrzyła sobie na partykula-rzu. Poziom ówczesnego towarzystwa sądeckiego trzymał się na równi z pozio-mem ogólnej kultury szlacheckiej; byli to przeważnie ludzie z dworów pocho-dzący i ze wsią blisko związani. A im mniej prowincja i ucisk polityczny przedstawiały rozrywek kulturalnych — tem bardziej życie umysłowe koncen-trowało się po domach. — Nie było tam słychać nic z tych drobnych śmiesznos-tek (obraz, tytułomanii i t.p.) o jakich słyszałem tyle później na prowin-cji galicyjskiej. Przyjęcia nie zasadzały się też na jedzeniu; przyjmowano czem kogo było stać — nikt się nie starał zadziwić i prześcignąć drugiego. Pewne zżyte kółko urządzało n.p. przyjęcie co środę w innym domu; jeśli przypadła środa adwentowa lub wielkopostna — w domu urzędniczym, a się-

wszyscy się liczną gromadką dzieci, nie wstydzono się jednak jako potra-wy stołowej — półmiska białej kaszki „krakowskiej", śmietaną tłusto pokra-szonej i suto polanej masłem... — Siadało się na przysmaki — wtedy w dziedzińcu stajni — tylko jedna rodzina, przybyła z południowej Rosji, skoligacona z rodzinami z kresów podolskich; był to jedyny dom, silnie tknięty pokostem rosyjskim, właściwie ze strony pana, który miał też i przyzwyczajenia typowego „czynownika", a gdy później przyjeżdżał do Krako-wa, znany był z tego, że żonie i córkom kupował zawsze tylko co mógł materii najstrojniejszego. Pamiętam raz jakąś czerwoną aksamitną peruwetkę... Żona to coś matuchna, tłusta, kulawa — prawdziwe kobie-cisko — królowała nad licznym dworem służby, opasanej też tymi sma-kołykami; w piątek n.p. każde dostawało na drugie śniadanie szklankę mleka malinowego lub migdałowego... Wspólne jedli sobie konfitury, „sucharów owo-cowych, „baumkuchów" — jak z powieści Turgieniewa: „Księżna wychodzi, opar-tej na przedwojennych, ukraińskich sztorkach." — Ale inne domy nie schodzi-ły się na zgodzenie w tym kierunku. Pamiętam jeszcze pomiędzy sąsiedz-kich rodzin Rauscherów, Buldów, Wszczyńskich — który wśród rzeszy innych „Kółeczków" przeciągali corocznie przez Kraków ze mego dzieciństwa i lat młodych — pełna bujnej tężyzny i kultury towarzyskiej. — Jako odosobniony

fakt opowiadał mój kuzyn Włodzimierz Zdzitowiecki obrazek z dzieciństwa,
który mu utkwił w pamięci i zawsze rozśmieszał – jak na jakiemś przy-
jęciu na wsi pod Radomiem, gdzie pierwszy raz zjawiła się Matka moja
u kogoś z dalszej rodziny, w błękitnej jedwabnej, szykownej sukni – jakiś
sztubak z sąsiedztwa nałożył sobie kotletów z sosem na serwetę, stoją-
cą na talerzu; a potem widząc, że wszyscy dokoła serwety zdejmują – ściąg-
nął swoją i rzucił pod stół – na błękitny ogon nowej tkani, które
chłopaki z zajęciem i respektem obserwowały... – Lecz tańczących
zabaw nie bywało wiele: ani epoka nie była po temu, ani zdrowie mej
Matki i owe częste żałoby nie pozwalały na uczęszczanie na nie. Wpły-
wało to zapewne nawet dodatnio na wyrobienie intelektualnej strony
obcowania. – Czasem urządzano dobre amatorskie przedstawienie. Matka
moja była namiętną lubowniczką teatru i pamiętała najświetniejszą
jego epokę zarówno w Krakowie, jak w Warszawie – a zawsze wspomina-
ła dwa amatorskie przedstawienia Fredry, które jako całość wykonania
stawiała w rzędzie najlepszych, jakie wogóle widziała: a to jakieś przed-
stawienie „Dam i huzarów" na wsi w Miechowskiem i „Śluby panieńskie"
w Radomiu. – Trudniejszem w dziedzinie czytelnictwa za czasów Aleksan-
dra II. zaradzano jak się dało. Lepsze książki nabywane przez pewne kół-

ko, krążyły z rąk do rąk, by pod koniec roku być wyeksploatowanemi pomię=
dzy członków tej ruchomej czytelni. Pamiętam jeszcze głównego „patrona" tego
ruchu czytelniczego, ś. p. Władysława Paklerskiego, ogromnie sympatyczne=
go kolegę biurowego mego Ojca. Corocznie zjeżdżał w lecie do Krakowa,
by się wykąpać w polskości – a czy tam zupełnie czyste miał sumienie
wobec Moskali ten spokojny, starszy pan, co się tyczy jakichś poważniej=
szych przewinień patriotycznych – Bóg raczy wiedzieć... Pamiętam jego ucie=
chę, gdy raz – podczas gdy Rodzice z gośćmi byli w salonie – ja, usypiając
już w mojem łóżeczku w sypialnym pokoju, począłem na cały głos
(a miałem płuca!) wyć: „Grzmią pod Stoczkiem armaty..." Gdy
zaciekawieni tym niespodzianym koncertem starsi zajrzeli do sypialni,
ujrzeli mnie siedzącego na łóżku z otwartemi oczami i śpiewającego –
lecz nic o tem nie wiedziałem. Takie rzeczy trafiały mi się też z wierszami
z kolendami. A normalnie budziła mnie przelatująca mucha. „Ono
nawet przez sen śpiewa patriotyczne pieśni!" – cieszył się poczciwy
Paklerski... –

Ale z książkami patriotycznemi w latach 63–80, trzeba było być
ostrożnym w Królestwie. Niedawnoż to były czasy, gdy u Kosierzkow=
skich ze zakazaną literaturą rozpruwano wszystkie meble, a ciotkę

śmiertelnie chorą czterech kozaków podnosiło z prześcieradłem, by złożyć na materacu. Ocalał tylko jeden stołek, stojący na środku pokoju, tym, w którym ukryta była 3-cia część „Dziadów"... – Nie przeszkodziło to niedługo wujowi K. otrzymać wyższej posady w Banku Państwa – ale już zapewne wpływem perfidii był fakt, że dostał na równi z kolegami-Moskalami order za „uśmierzenie powstania"... I musiał potem – gdy w kraju wypadła „galówka" i trzeba się było „zmienić" w ordery – iść do cerkwi w paltocie zapiętym pod brodę w największy upał...
– Dwie rzeczy dokuczały Matce w czasie 12-letniego pobytu w Radomiu: brzydota miasta i okolicy – istotnie chyba najbardziej szarego ze wszystkich większych miast Kongresówki, choć to przecież też gród Bony – co dla Krakowianki, przywykłej w mieście i po za jego murami od pierwszych spojrzeń w życiu do wrażeń estetycznych, było podwójnie przykre; i – ucisk policyjny. – Do tego „Sołtyzanka" już nawet przed 1866. nie była przyzwyczajona – do tej niepewności dnia ani godziny – do tego zaczepiania na ulicach, odrzutach, ba! spojrzeniach... Powiadała, jak ~~teściowa~~ świekra dała jej swoją własną, doskonałą służącą, żeby młodą mężatkę u wstępu uchronić od trudnień z gospodarstwem. Cóż, kiedy ten wzór cnót wszelkich miał jedną wadę: niewzruszonego żandarma! Nietylko jak on siedział wieczorem

w kuchni, do której było okienko do podawania potraw — ale i przy niej samej trzeba było trzymać język na wodzy, by czegoś nawet bez złej woli nie wypaplać. Matka nie mogła się z tem oswoić, że nieraz w czasie jakiegoś opowiadania, które jej się wydawało najniewinniejsze, Ojciec kładł palec na ustach i wskazywał wzrokiem w stronę „wroga domowego"... Toteż mimo wszelkich przymiotów jego było bardzo szczęśliwe, gdy sobie poszedł, by się połączyć węzłem dozgonnym ze swoim „sympatycznym" wybrańcem. — 1. marca 1881. Ojciec poszedł jak zwykle do biura w Izbie Skarbowej — i natychmiast wrócił. Matka zaniepokoiła się, czy nie zasłabł? „Nie — tylko wróciłem po surdut mundurowy — idziemy do cerkwi — car zamordowany."

Niestety — potem nastały jeszcze gorsze czasy Aleksandra III., jak ta noc, co staje się najgęstsza przed świtem. — Matka mnie po mojem urodzeniu nie wróciła już do Królestwa. A mnie pozostał na zawsze lęk przed tą ciemną potęgą, której na imię: „Rosja". Narazie uosabiała mi się ona w „burku", stojącym z karabinem na granicy, gdyśmy jechali w odwiedziny do krewnych po tamtej stronie. Ogarniało mnie zmorowate uczucie — i gdybym wówczas mogła była znać Dantego, na słupie granicznym widziałabym była napis z bramy piekieł... — Podobny

Lęk ogarnął mię na wzmiankę o wojnie (z Rosją naturalnie), które już wówczas zrywały się czasem głucho między pospólstwem z jakiegoś dalekiego powodu. Nie przeczuwałem, że dopiero ziszczenie się tego strasznego słowa od tamtej zmory nas-uwolni!

Wycieczka w Tatry.

W którymś z lat popowstaniowych dziadek mój powziął myśl odwiedzenia wraz z córką i z siostrzenicą swą, Emilią Kicińską, najstarszej siostry swej, zamężnej w Kieżmarku na Spiszu za aptekarzem Eleonory z Mahrów Genersichowej. – Dziadek nie lubił utartych ścieżek – trasę dla siebie czy dziatki mej obmyślał zawsze tak, by jechać inną, wracać inną stroną, żeby jaknajwięcej zobaczyć. Ruszono więc i teraz przez Stary Sącz – Piwniczną, a postanowiono wracać przez Tatry i N. Targ. Jak na owe czasy, gdy cała ekspedycya odbywała się końmi – była to istna wyprawa do „stratosfery" – i nie wiem, czy wśród zasiedziałych mieszczuchów krakowskich znalazłoby się wielu, którzyby – jak mój dziadek – około 60-go r. życia na nią się pisali.

Nacieszywszy się rodziną żyjącą w Kieżmarkiem, starem miasteczku, ustawionem pod strażą piramidy Łomnicy – pełnem starych zabytków, gdzie jeszcze o ćwierć wieku później stróż nocny z rogiem i halabardą śpiewnie obwoływał godziny, a smocze głowy rynien wyrzucały w czas deszczu kaskady wody na środek uliczek – ruszono w góry. – Nocowano po karczmach – tak niedawno jeszcze zbójnickich! Jedna z nich – w Bukowinie zdaje mi się – upamiętniła się

Matce mej, zawsze lekko śpiącej i wrażliwej na zapachy, weselem góralskiem i zapamiętałem, śpiewem góralskiem ciemnem, którego nasłano gościom na strychu, chcąc ich uhonorować. Z dołu jednostajne brzękanie gąśliczek i tupot nóg, tańczących „zbójnickiego" w małej przestrzeni dusznej izby górskich izb, przyprawiły Matkę o noc bezsenną i migrenę. Dziadek też nie był olśniony — jedna „Miła" chrapała jak dowel po trudach podróży w górskiem powietrzu... — Ale urok cudów przyrody górskiej dodawały sił i kazały zapomnieć o nieprzespanej nocy. Matka zapamiętała zwłaszcza do końca życia zapamiętane kwiatów górskich, buchających wrotki i wśród „drogi" — siłą wonią wonto! — które się nie trzeszczą w ręku porwano. Nie wymierzyła ich wówczas jeszcze „kulturze" letników...

Z Zakopanem natrafiono na „tygodniówkę" tatrzańską, która naszych turystów zamknęła w izbach osiedla Staszyców, gdzie dziś hotel „Staszyckówka" po prawej stronie Krupówek, idąc w dół. — Zakopane było jeszcze wówczas dosłownie — „zakopane": wszak było to przed Chałubińskim! Nic — tylko wśród lasu i polanek szeroko rozrzucone chaty i stary dziś kościół. — A jednak trafiali się już letnicy z Krakowa. Matka wymieniła panny Skrzyńskie-

córki generała – i.j. Hallerowej, babkę rodzoną ow. „zimnego" generała Józefa H. z synami. Ta ostatnia raczyła niemieckich turystów róż- nymi specjałami kulinarnymi – n.p. świecami – zaś ostatniemi ze to- warzystwem chłopcy chętnie spełniali pożytki. Zresztą żywiono się tem, co miał górał – t.j. mlekiem, serkami, baraniną duszoną w „perkach" (kartoflach), i cienkiem zimnem węgierskiem, które jak z niewyczerpanej studni czerpał stary Stoszyczek z piwnicy. – Wreszcie w wigilię Wniebowzięcia ustaliła się nagle pogoda gór- ska i oczom olśnionych wędrowców ukazał się cały łańcuch Tatr lekko pobielonych śniegiem świeżym... Przystąpiono zaraz do zor- ganizowania wyprawy w góry przy pomocy świadomych rzeczy (także paru młodych ludzi z Krakowa, bawiących na wakacjach). Chcia- no zabrać naturalnie i młodych Hallerów, którym się oczy świeci- ły do wyprawy. Lecz matka – z nieubłaganie ortodoksyjnego rodu – stanęła jak mur: w święto nie mogą opuścić Mszy! Dziadek mój jako „poeta" nie śmiał nalegać, ale poszedł sam proboszcz, słynny ks. Stolarczyk, powiedział, że chłopców zwalnia z obowiązku – zatrzymał się mówiąc że wreszcie, że góry są najpiękniejszym ołtarzem Boga – nic nie pomogło: poszedł kleryk, krewny Stoszyczków, a Hallero- wie zostali.

Głównym celem wyprawy było Morskie Oko – ale „wzięło" i Pięć Sta-
wów i różne inne cuda, dostępne dziś średnio chodzącym wycieczkow-
com. A trzeba pamiętać, że wówczas nie było Tow. Tatrzańskiego – ani
znaczonych ścieżek – ani klamer. Było natomiast to, czego brak jest
dziś tak częstą przyczyną katastrof w górach: doświadczeni przewodni-
cy – górale jeszcze naprawdę, nie dla pieniędzy, zamiłowani w górach
i znający je jak kieszeń. Ci różni Staszkowie, Wala i in. Gąsienica czy
Sieczka, pytani, czy też z młodu widywali jeszcze zbójników? – prze-
czyli „ni, ni!" – skromnie spuszczając oczy – a wiadomo było, że nie-
jeden ze starych jeszcze dobrze praktykował... – A jednak przejście
Zawratu dla ludzi, którzy nigdy wysokich gór nie widzieli, było i
pod tą opieką „wyczynem" nielada. Szedł na przemianę: przewodnik
i „ceper" – przy czym przewodnicy od strony przepaści trzymali ciupagi
jak poręcz: jeden za końce, drugi za siekierkę – koło mieszczucha
i upominali ciągle: „Nie obzierać się! nie obzierać!" Gdy się zna-
leziono na górze dziadek mój – który dzielnie stąpał – rzekł tylko:
„Jestem stary wyga, zwiedził sto krajów, żeby i zamęczyć tu teraz
w moim wieku, jedno dziecko moje a drugie cudze za sobą ciągać!"
A jednak Matka moja zawsze była wdzięczna swemu ojcu za tę

wycieczkę, bez której nie byłaby znała Tatr, to nietylko ja zamiast z-pójścia nigdy nie byłaby już miała zdrowia do żadnej wspinaczki, ale - co już jest trudne do wiary - mieszkając do śmierci w Krakowie, nie była już nigdy w Tatrach (prócz małej wycieczki na Spisz) i uroczystego Zakopanego wcale nie znała!

Dla mnie tylko jedno pozostanie zawsze zagadką: jak można było robić wycieczki górskie w owczesnem ubraniu? Dziadek w długim surducie i nieodstępnym, wysokim, jasnym cylindrze; panny w cieniutkiem obuwiu, długich sukniach, gorsetach (Matka moja nie, ale ciotka Mila tak) i - krynolinach!!! Było to już wprawdzie po okresie „ostrego szału" krynolinowego; czasy najostrzejszego Matka moje przetrwała na pensji, gdzie krynolin nie noszono - zresztą dobry smak strzegł ją zawsze od wszelkiej przesady. Ale zawsze tam jeszcze noszono mały obwodek. Matka twierdziła zawsze, że to było właściwie najlepsze z ich „ekwipunku": krynolina trzymała z daleka długą suknię i nie plątała nóg przy chodzeniu.

Ze St. Sącza zrobiono wycieczkę do Szczawnicy i Pienin. Dziadek wyjeżdżając z Krakowa obmyślił parasol ogromny, nakształt tych, jakich używają przekupki na placach, żeby chronić podróżnych na

wózka przed spiekotą i deszczem. Ale żeby go uczynić lżejszym, kazał szprychy zrobić – z fiszbinów... Wetknięcie takiego ogromu w środku wózka przedstawiało pewne trudności, ale jakoś to zręcznie poszło i wszyscy byli olśnieni genialnym wynalazkiem – póki trwała pogoda.

Lecz w drodze do Szczawnicy złapała naszych wojażerów nieprzebrana górska ulewa. Niebawem poczuli, że parasol, miast ich chronić, dziwnie i coraz bardziej przyciska ich do środka: to fiszbiny zmoczone skulały się... – Temu samemu losowi uległy i krynoliny, zrobione także z fiszbinów. Gdy przyjechano do Szczawnicy ówczesnej, w osłupieniu grona kuracjuszy, stanowiących „elitę", rozniosło się zaraz, że przybyły jakieś dwie nowe pokraki – a tu właśnie szykował się „reunion". Krakowianie w dodatku dowiedzieli się, że to ich „fircyk" z jakąś nieszczęsną kurzyneczką i z córką, która miała renomę piękności, teraz więc otoczono panny i zaczęto prosić na zabawę.

A tu cała garderoba zamokła! [illegible]: gospodyni dostarczyła żelazka i wszystko się jakoś zrobiło. Ale krynoliny straciły wszelki fason. Dziadek nie bardzo mógł sztapować, dlaczego brak tych obręczek miałby uniemożliwić zabawę – ale wówczas pokazać się bez krynoliny było wprost nieprzyzwoicie, jak-/

by wyszedł bez dobrego ubrania... Pewna kuzynka Matki – szy=
kowna z maleńką – która jedna w Krakowie wyłamała się z pod
terroru krynolinowego, była celem pocisków wszystkich dowcipni=
siów. – Wreszcie wielkie jakieś panie dowiedziały się o operacji
Krakowianek i poratowały ich swemi zaprawionemi narzędziami tor=
tury. Tak samiec w Szczawnicy został uratowany!

26.

Pensya panny Szawłowskiej.

Dziadkowi trudno było wychowywać córkę przy jego kawalerskiem gospodarstwie, więc oddał ją na renomowaną wówczas w Krakowie pensyę p. Szawłowskiej, mieszczącą się przy ul. Szczepańskiej 5, I. p. Stosunki tego zakładu były dalekie od dzisiejszych wymogów higie-nicznych: wszystko mieściło się w czterech pokojach, z których jeden zaj-mowała kierowniczka z siostrą, a tylko jeden był naprawdę obszerny-głęboki, jak to zwykle w naszych starych domach mieszczańskich. Ale to było zawsze 20, dwadzieścia parę panien miejscowych i parę nauczy-cielek języków, mieszkających na pensyi. – Pokoje obstawione były wokoło szafami z szufladami, na których w nocy panny spały, na dzień chowając pościel do szuflad. A że na parterze mieściła się piekarnia – pierwszo-rzędna swego czasu w Krakowie piekarnia Wiedeńczyka Merkerta – nie obyło się bez inwazji do tych szaf drobnoustrojów, lubiących ciepło... Wy-brane uczennice dostępowały zaszczytu sypianie w pokoju „madam” – jak tytułowano przełożoną; i Matka moja dostąpiła tego odznaczenia. – Ot-wieranie okien w zimie było płochością nieznaną: rano przed rozpoczę-ciem nauki siostra przełożonej obchodziła pokoje z łopatką rozżarzonych węgli, posypanych kadzidłem – i to było całe „świeże powietrze”... Dla Matki mej, skłonnej zawsze do migreny, to nieszczęsna panna Amelia

z łopatką została na całe życie ujemną pamiątką — choć jako starsza zdawała sobie potem sprawę z ogromu pracy obarczającej tę istotę — gdzie cały ciężar gospodarczy zakładu spoczywał na barkach jej i jednej służącej! A czystość była — przy tymi drobnymi nastrojami — wzorowa. — Niezbędne ubikacje znajdowały się hen! na końcu podwórza i trzeba było odbywać do nich całą podróż gankami — jak to zwykle w starych domach bywało. W przedpokoju stał cały rząd naczyń przez noc — ale biada, jeżeli które rano okazało się zużytkowane! Następował zaraz donos ze strony służącej (która mimo ogromu pracowitości zostawiła u uczennic b. niemiłe wspomnienie jako szpieg i donosiciel), surowe śledztwo i awantura. Nigdy nie Matce nie udało się dociec, jaki był cel ustawiania tego „sztabu generalnego," kiedy jego używanie było wzbronione? — I dlaczego walczono z naturą? Kilkorze dziewczynki, które przechodziły szkarlatynę, kosztował ten obyczaj wiele łez. — A mimo to wszystko przez 4-letni pobyt Matki na pensji zdarzył się jeden wypadek choroby: Matka zachorowała na różę w uchu i leżała parę tygodni u ojca, gdyż na pensji nie było gdzie. Który dziś zakład może się poszczycić takim rekordem? I co na to higieniści?...

Nabożeństwa wszystkie odprawiano w kościele św. Anny, lodowato zimnym. Wszystkie panny musiały klęczeć na kamiennej posadzce przez całą długą sumę. Matka zawsze twierdziła, że stamtąd wyniosła zadatki

gnębiącego ją całe życie reumatyzmu. – Wór. Anny też odbywała się spowiedź. Był to wyraz, że dziewczynki, które już ją odbyły, siedziały w ławkach po jednej stronie kościoła, czekające – po drugiej. Raz Francuzka podchodzi do jakiejś małej i pędzi ją: „No idź już, idź!" „Kiedy ja już dwa razy byłam!" – łka mała, która ze wzruszenia pomyliła ławki...

Wstawano ~~naturalnie~~ do dnia, żeby zdążyć z uprzątnięciem pokoi przed nauką, która rozpoczynała się o 8-mej. Grać na fortepianie musiała naturalnie wówczas każda panna, czy miała talent, czy nie – tak jak ten ochotnik Fredry, co to „musi być ochotnikiem czy chce, czy nie chce"... Więc do fortepianu był natłok. Matce mej n.p. przez jakiś czas wypadały lekcje muzyki przed nauką szkolną – a więc w zimie wśród ciemnej nocy, przy świecach... Czyż nie lepiej by było, aby anemiczne dziewczyny dospały sobie dłużej, zamiast się zrywać do brzdąkania z zaspanym, starym „metrem"?! – O poziomie naukowym zakładu Matka odzywała się zawsze z wielką ironią, twierdząc, że wszystko co wie, nie stamtąd wyniosła. Z historii polskiej była mocna jeszcze dzięki swej matce, niemiecki język przywiozła z zagranicy, do muzyki miała talent istotny i rozwijała go później, praktycznych wiadomości nabyła później, pod kierunkiem niedoścignionej w tym względzie ciotki swej, Kucieńskiej – choć już na pensji, w czasie obowiązującego co sobotę popołudnia naprawiania pończoch, przyszywania guzików i t.p., była stawiana innym za wzór. – Wogóle liczy-

ta się do uczenia wszystkich, które przełożona najwyżej „t. uczniami i naj-
lepszemi, jakie wzorzy z pod jej ręki. Może to uśmiechało się do rzeczy, o je-
żby Małki mej – spokojnej, uczciwej legalistki, nie wtrącającej się nigdy
w cudze sprawy – nikt nie podejrzewał: dwie rewolucje, jakie zostały prze-
prowadzone w ciągu istnienia pensji p. Krawtowskiej, były jej dziełem! –
Rzecz poszła obie razy o język, zajmujący tak ważne miejsce w edukacji
ówczesnej. Raz wśród zniemczających się Francuzek trafiła się jakaś Szwajcar-
ka, czy Luksemburka, mówiąca okropnym akcentem. Rodzice znający się
na rzeczy uskarżali się, że córki ich zamiast robić postępy, nabierają na
pensji okropnej wymowy – dziewczynki nie mające w domu bon, nabierały
najfałszywszego pojęcia o języku – nic nie pomagało: „madame" odpo-
wiadała, że nauczycielka jest dobra, że zresztą gdzieby się biedaczka
podziała. To drugie było zapewne prawdą, wobec jej wymowy – ale trudno
było temu poświęcić naukę dzieci; a zresztą na dnie rzeczy leżała in-
na zapewne przyczyna: nie wszystka tanność takiej „siły"... – Matka więc „na
taki się koncept zmogła": poddała napisać raz dyktat tak, jak
dyktuje „mademoiselle". Wyszło tedy n. p. „Paris est le gabidete de
Vrance" i t. p. – wszędzie gdzie „p", to „b", gdzie „c", to „g" i t. d. Zeszyty poszły
do poprawy – jak zwykle – do pani Kr. samej, i już po chwili zjawiła
się we drzwiach klasy „madame" jako „sędzia gniewny": w czepcu, z okula-

rami na stole: „co to znaczy?!" jeden – drugi – dziewiąty zeszyt – wszędzie to samo... „Piszemy tak, jak mademoiselle dyktuje" – odezwała się któraś śmielszej natury. Kara... stopni naturalnie z zadania nie było, ale nauczycielka najbliższego 1-ego czy 15. odesłała. – Drugi raz sprawa była rzeczą „ideową", humanitarną... Istniał na pensji szkaradny zwyczaj stawiania „w dyby" uczennic, nie mówiących po niemiecku czy francusku w dnie na to przeznaczone, i przypinania im na cały dzień do pleców czerwonego języka. Dziewczęta sarkały na ten przeżytek czasów średnich, ale nikt nie śmiał się zabrać do tego wstrętnego obyczaju, tak zabijającego ambicję. Dopiero Mathe raz, widząc ze trzech z tego powodu jakieś płaczące koleżanki, ale wyjątkowo pozbawione daru językowego – wzięła na odwagę i podała myśl spalenia obu narzędzi tortur: „dyb" i języka... Przy poszukiwaniach rzecz się nie udała, a Mathe autorstwa projektu się nie zaparła. „Madam" powiedziała jakieś kazanie banalne, ale na tem się skończyło; może ze względu na wzorowe zawsze zachowanie Mathi, a może dlatego, że p. Szawłowska liczyła się z dziadkiem, który był na owe czasy „figurą" w mieście. Tak czy owak: „dyby" i język już nie zmartwychwstały na pensji...

Wikt w zakładzie był bardzo średni; Mathe wspominała ze zgrozą jęczące kaszę jaglaną z suszonemi śliwkami, które pojawiały się niezmien-

nie w zimowe, płatkowe wieczory... – Istniał zresztą zakaz posiadania na własność jakichkolwiek środków spożywczych przez panny. Np. po powrocie ze świąt wszelkie przywiezione „smakołyki" musiały być natychmiast rozparcelowane między koleżanki... – Nie wszystkie się tam temu tak skrupulatnie podporządkowały i Matka opowiadała, jak raz dwie ziemiańskie panny wiejskie z Miechowskiego przywiozły po raz pierwszy na pensję kuzynkom. Z szkoły nie mogły ich wozić, ale na wyjście... Zbiegła się naturalnie cała pensja, by oglądać te marzone cuda – orzechy „dorosłości" – a tymczasem jakaś zazdrośnie nastrojona panna wyciągnęła nocą przy tym zapasie tort z szuflady od łóżka, tak że tylko papier różowy pozostał... – Religii uczył przez jakiś czas znany w Krakowie z uczoności ksiądz, którego wszystkie pensje p. Szawłowskiej zazdrościły (na co te ostatnie nie były obojętne...). Bratanki jego też były na pensji. Umówiły się tedy z gospodynią księdza, aby – gdy ten idzie na lekcje na pensji – wsuwała mu zawsze w głębokie kieszenie rewerendy coś do jedzenia, korzystając z roztargnienia uczonego stryjaszka. Szły wprost – bratanki zmawiały się na jego powitanie – wszyscy uważali za naturalne – co dzień mówiły mu „ptaszku" – i przytem z kuglarską zręcznością wyciągały z kieszeni kawałki kiełbasy, ciastka, czy też owoce, które ksiądz nieświadomie przyniósł...

O rzeczach uczących się panienek nie dbano wówczas. Może dlatego,

że wiedziano, iż te panny w dalszem życiu dziś swem będą mogły po-
święcić sztandarom tworzyckim. — Codzienny spacer po plantach „gęsie-
go" — oto było jedyne urozmaicenie. Matka opowiadała komiczny epizod
z takiej przechadzki, kiedy jedna z panienek, Helenka K., ujrzawszy na
plantach swego ojca, znanego estetę Karola Kremera, wyszła z szere-
gu, by go pocałować w rękę. Kremer — dystrakt — profesor, przechodzący
pod tym względem wszystkie anegdotki o profesorach z „Fliegende Blät-
ter" — obudzony nagle z zadumy przeląkł się: „Co pani? Dlaczego pani..."
zanim poznał własną córkę... Wciąż opowiadano o nim, że nie mogąc się
dostać do domu w nocy, bo „zapomniał" klucza, sprowadzał z półmiasta ślu-
sarza — a dopiero gdy ten, majstrując koło zamku zapytał, czy też przypad-
kiem profesor nie ma jakiegokolwiek klucza — okazało się, że Kremer
klucz od bramy trzymał w ręku... — Tę Helenkę oddano było na pen-
sję, ponieważ w domu wyczerpano już wszystkie środki w celu doprowadzenia
jej do nauki. Liczono więc jeszcze, że emulacja pomoże. A nie była nie-
zdolna — tylko leniwa. Lecz wszelkie rachuby zawiodły. Gdy raz nie zrobiła
znowu jakiegoś zadania, zatrzymano ją w klasie poza godzinami szkolnemi.
Kiedy po oznaczonym czasie nauczycielka weszła, zadanie było wprawdzie
wedle nienapisane — zato biała sukienka Helenki — szeroka, jak nieświeże-
miała we wszystkich kratkach piki podbione atramentem czarne kropki...
Na to miała cierpliwość! Ten stosunek do wiedzy nie przeszkodził Helen-

ce stało się z czasem matką jednego z bardziej znanych poetów „Młodej Polski" i wogóle matką bardzo inteligentnych dzieci. —
Panny mające kogoś bliskiego w mieście i przeto wychodzące w sobotę wieczór, by dopiero w poniedziałek rano powrócić — jak moja Matka — były przedmiotem zazdrości. Powrót w późniejszych godzinach na pensję był utrudniony, choćby z tego powodu, że piekarz patryarchalnym sposobem rozkładał w sieni na ziemi na deskach bułki, przez które trzeba było skakać — a brama była przez to wczas zamykana. — Raz gruchnęła po pensyi wieść" niebywała: zabawa będzie! Starsze panienki zachodziły w głowę, jacy też będą kawalerowie? Otóż kawaler był tylko jeden — wąsaty, łysawy i strasznie kulawy, z grubą na kilka cali podeszwą!... Okazało się, że to był krawiec „madam," która chciała z nim wydać jedną z uczennic, i stąd pomysł całej zabawy... Tym razem jej się nie udało, ale kiedyindziej wydała trzy siostry ze trzech braci! — Amor wszędzie potrafił się zakraść i do tak strzeżonej instytucji. Na pensji wykładali profesorowie, więc zwykłym naszym porządkiem, jak się trafił jaki młodszy i do rzeczy, bez westchnień się nie obyło. Co gorsze, to że tym razem zakochał się profesor w uczennicy — trzeciej, małej, statecznej Wandzi K., zawsze schludniutko i solidnie ubranej córce zamożnej, mieszczańskiej rodziny. Biedak przechodził straszne emocje, gdy przyszła kolej na wywoła=

nie „panny K." – a już gdy pannie K. trzeba było coś przyznać, było istną tragedją, ku uciesze złośliwego, panieńskiego audytorjum. Jedna Wandzia zdawała się nie wiedzieć o niczem – przyjmowała wszystko z niezmąconym spokojem – która to właściwość usposobienia zdała się może powodem, że nietylko żyje do dziś dnia (jedyna z koleżanek mojej Mathi), ale w 87-ym roku życia cieszy się pełnią władz fizycznych i umysłowych i wcale nie rezygnuje z tych przyjemności, jakie życie jeszcze dać jej może.

Choć najserdeczniejsze przyjaźni Mathe nie z pensji wyniosła, z koleżankami żyła dobrze, z wieloma zachowała stosunki do końca życia ich. (Po wszystkie z wyjątkiem swojej wspomnianej przeżyła.) O dramatycznem zdarzeniu wspomniała tylko przy jednej; jakiejś córce obywatelskiej z Królestwa, na której zapalił się welon ślubny od świec na toalecie. Płomień wprawdzie zalano – ale strugi zimnej wody w chłodnym pokoju na rozgrzaną wzruszeniem pannę młodą tak podziałały, że choć rany z poparzenia się zagoiły, dostała zapalenia płuc i umarła niebawem na galopujące suchoty... – Obyczajem entuzjastycznym, przenoszącym się do jakiejś misji w życiu, zwłaszcza pod względem narodowym – była zdaje się tylko p. Stefania Krzyżanowska, późniejsza nauczycielka w Radomskiem, która już późno wyszła zamąż za wdowca, urzędnika kolejowego Mrakowskiego, by być matką jego córkom i wszczepić w nie swoje ideały. Doczekała ~~jeszcze~~ Polski.

Może najserdeczniejsze stosunki wiązały Matkę z koleżankami z klas wyższych. Wśród nich była także Teodora Giebułtowska, późniejsza żona Matejki, której choroba nerwowa zatruła życie wielkiego artysty. Na pensji nie objawiała żadnych ku niej skłonności - była najpoprawniejszą koleżanką - a nawet później, gdy zarozumiałość ze stanowiska męża przybierać zaczęła u niej cechy chorobliwe, do Matki odnosiła się przy każdej sposobności po prostu i serdecznie.

STANISŁAW KIETLIŃSKI.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Wśród mogił, które tej wiosny usypano na Powązkach, znanym warszawskim cmentarzu, jedna kryje zwłoki Stanisława Kietlińskiego, adwokata w Warszawie, człowieka urastającego ponad poziom społeczny wysoką wartością moralną, nieskazitelnością charakteru, wielką a czynną miłością bliźniego... Przeszedł przez ziemię dobrze czyniąc dokoła, zdobywając na gościńcu życia sympatyę, nawet podziw wielu, uznanie wszystkich... Należał do pokolenia, które przed trzydziestu paru laty wstępowało na pole życia publicznego, do pokolenia wypróbowanego w ogniu nieszczęść, a przeto droga życia była dla niego drogą ciernistą. Wygnanie długie, syberyjskie stało się jego udziałem... Po powrocie do kraju wstąpił na pole adwokatury, do którego przygotowały go uprzednie studya prawnicze, w uniwersytetach charkowskim i petersburskim... Jak niegdyś na kursach uniwersyteckich, a później na syberyjskiem wygnaniu, tak i w latach ostatnich, na stanowisku adwokata, wybitnie wyróżniał się swą niezwykłą postacią moralną... Świadek i towarzysz jego wygnania, Dr Benedykt Dybowski, taką kreśli sylwetkę tej niezwykłej postaci: ...»Umysł jego bez przesądów i uprzedzeń, serce pełne miłości dla wszystkiego co szlachetne i wzniosłe, wola silna, skierowana do osiągnięcia celów najszczytniejszych — stanowiły tło jego charakteru i tworzyły całość harmonijną, tak ujmującą, że ją idealną nazwać można, tem idealniejszą, iż wszystko w nim było samorodnem, jakby odruchowym objawem jego wzniosłego ducha. Największe poświęcenia swej osoby w celach służenia swym blizkim, swym towarzyszom niedoli, ojczyźnie, ludzkości, niósł z taką szczerą, gołębią prostotą, z takiem zaparciem się siebie, iż każdy co z boku na to patrzał, mógł myśleć, że go to nic nie kosztuje... Widziałem go nieraz wśród najcięższych przejść życiowych, wśród okoliczności budzących w całem otoczeniu rozpacz i zwątpienie, a na jego twarzy, noszącej zwykle wyraz cierpienia i łagodnej rezygnacyi, nie widziałem nigdy objawu trwogi lub wahania... Szedł przez życie, jak szli na śmierć pierwsi chrześcianie, z wiarą w lepszą przyszłość, w którą wierzył, jak się wierzy w postęp ludzkości, a pożądał jej nie dla siebie, bo nie miał nadziei dożyć takowej, ale dla rodaków, dla ludzkości. Szczęścia nie zaznał za życia, nie było go bowiem w ojczyźnie...«



STANISŁAW KIETLIŃSKI.

Do tej charakterystyki pełnej prawdy, skreślonej piórem Dra Ben. Dybowskiego, nic nie dodajemy, oprócz słów bezbrzeżnego żalu, który echem długotrwałem odbił się w sercach tych, co w kraju, bądź za dni tułactwa, mieli możność spotykać tę postać niezwykle podniosłą, wyróżniającą się wybitnie na tle naszych dzisiejszych, społecznych stosunków...

MARYAN DUBIECKI.

DO CZYTELNIKÓW.

Szanowni Czytelnicy,

ności Dyrektorowi Slękowi, Dyrekcyi Kasy Oszczędności, oraz jej Wydziałowi wielkiemu, staropolskiem: »Bóg zapłać!« za wspaniałomyślną ofiarność. W dniu dzisiejszym może świetna dyrekcya Kasy Oszczędności poszczycić się tem wspaniałem dziełem, jakie na dalsze wieki przekazuje potomności; może się poszczycić, że zrozumiała, jaki na społeczeństwie polskiem ciąży obowiązek czuwania i wspólnemi siłami zachowywania pamiątek drogich i pomników z tych czasów, kiedy naród był jeszcze niepodległym, pomników, które są tak świadkami pobożności i wiary ojców naszych, jak i obrazem bogactwa, kultury i cywilizacyi wieków minionych.

»Oby dzień dzisiejszy był oraz dobrą wróżbą na przyszłość, oby odnowienie i poświęcenie tej kaplicy zjednoczyło wszystkie nasze warstwy społeczne od kmiotka do pana; by wspólnemi siłami, dając dowód żywotności narodu, dokonać jak najrychlej restauracyi sercu każdego Polaka tak drogiej katedry, co lepsze pamięta czasy, a obecnie odarta z purpury królewskiej, smutny, rzec trzeba, przedstawia widok. Ta myśl powinna nas wszystkich dziś ożywić, przejąć, połączyć i zjednoczyć, a zjednoczenie sił w jednym tak pięknym i szlachetnym celu nietylko przyspieszy odnowienie katedry na Wawelu, ale co najważniejsza, przyczyni się do zrozumienia potrzeby pracy nad wewnętrznem odrodzeniem narodu w jedności i miłości, na wspólnym gruncie wiary świętej katolickiej, aby się spełniło to, o co Chrystus się modlił, prosząc Ojca swego: »Ojcze daj, aby byli jedno, jako jedno z Tobą jestem«. Bożej do tego potrzeba pomocy, bo jak powiada Psalmista: »Jeśli Pan sam domu nie zbuduje, daremnie pracowali ci, co go budują«. A więc z Bożą pomocą zabierzmy się do jednego i drugiego dzieła: to jest do odnowienia katedry, a zarazem do wewnętrznego odrodzenia, a to będzie z pewnością zadatkiem lepszej przyszłości dla całego narodu«.

Po tych wyrazach, książę-biskup, poprzedzony duchowieństwem i kapitułą, opuścił kaplicę, zaś członkowie rady i zgromadzeni obywatele składali podziękowania dyrektorowi Slękowi, jako inicyatorowi restauracyi i kierownikowi krakowskiej Kasy Oszczędności. Wkrótce potem napłynęła do kaplicy liczna publiczność, tak miejscowa, jak przejezdna. Podziwiano piękność rzeźb i harmonię zarysów kaplicy, nagrobki Zygmuntów, srebrny ołtarz polowy Zygmunta I, prześliczne antependyum, ręką królowej Anny Jagiellonki haftowane — a podziwiając, z radością... zdawało się wszystkim, że to skarby odzyskane na wrogu, na jednym z najstraszliwszych wrogów ludzkości — na czasie, który wszystko niszczy.

JAN RADOST.



KASKADY.

III.

W JESIENI.

Smutno bywa na ziemi i pusto w jesieni!
Chociaż tak barwną szatę bierze świat,
Późnych kwiatów rubinem, złotem zbóż się mieni,
Liście drzewin zielone żółci i czerwieni: